









**PRACE**  
**DRAMATYCZNE**

**J. S. JASIŃSKIEGO.**

*Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.*





Scena X.

J. P. Panczykowski [w roli Jeka, w krotkiej Nomy Sąd Parysa.]

*Ja tak sze oczetałem, że gdibym był przezrocisty, to by  
mieg przecitać można bule durck*

*Tom IX. Prac Dramatycznych*



Egz. archiwalny IBL

**P R A C E**  
**D R A M A T Y C Z N E**

TLUMACZONE I ORYGINALNE

**J. S. JASIŃSKIEGO**

**A. D. T. W.**

**Tom IX.**

**WARSZAWA**

---

**1839.**

**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

**Biblioteka**

**ul. Nowy Świat Nr 72**

**00-680 Warszawa**

**Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42**

# SPIS SZTUK

W TOMIE DZIEWIĄTYM ZAWARTYCH.

---

1. *Wiecznie* czyli *Szał młodości*, komedja w dwóch aktach . . . . . 1.
  2. *Nowy sąd Parysa* czyli *Icek sędzią*, krotchwila w jednym akcie . . . 95.
  3. *Podejście*, komedja w jednym akcie 161.
  4. *Konstancja* czyli *Siostra i brat*, komedja w jednym akcie . . . . 197.
- 



# WIECZNIE

CZYLI

SZAŁ MŁODOŚCI.

**K O M E D J A**

W D W Ó C H A K T A C H.

*Tłumaczona z francuzkiego*

*pp. Scribe i Varner.*



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

**NA TEATRZE ROZMAITOSCI**

*dnia 9 Marca 1835 roku.*

O S O B Y.

PANI DERMILY	JPa. <i>Werowska.</i>
ARMAND, jej syn	JP. <i>Jasiński.</i>
KLARYSSA, jej wychowanica	JPa. <i>Złotoszewska.</i>
MATYLDA, jej siostrzenica	JPa. <i>Daszkiewicz.</i>
JÓZEF, służący P. DERMILY	JP. <i>Baraniecki.</i>

(Rzecz dzieje się w pierwszym akcie w Paryżu, w drugim w zamku de la Vaupalière.)

---

---

# WIECZNIE.

---

## AKT I.

*(Scena przedstawia piękny salon, drzwi w głębi i boczne. Na przodzie sceny, po prawej aktorów, mały stół okryty.)*

### SCENA I.

KLARYSSA, ARMAND.

KLARYSSA,

Przestań panie Armand, przestań!..

ARMAND.

Nie Klarysso, ty wiesz jak jestem nieszczęśliwy, i ile cię kocham.

KLARYSSA.

Zle czynisz... Dokądże podobna miłość

zaprowadzić cię może?.. Jesteś bogatym, a ja nie posiadam żadnego majątku.

A R M A N D.

Cóż ztąd?.. będziesz moją żoną; mojemu postanowieniu nie oprzeć się nie zdoła.

K L A R Y S S A.

Matka twoja nigdy nie zezwoli na ten związek; twoja matka, która od dwóch lat ciągle ma omnie staranie, i której niejako jestem wychowanicą, nie byłaby to niewdzięczność?..

A R M A N D.

Uszczęśliwiająć mię..

K L A R Y S S A.

Może też nie jest tego samego zdania... Powtarzam ci panie Armand, nie mogę, nie powinienam cię słuchać bez zezwolenia twojej matki.

A R M A N D.

Tak, słusznie mówisz... powiem jej..: już kilka razy miałem jej wszystko wyznać; lecz zaledwie wymówiłem twoje imie, twarz jej przybierała wyraz surowości, jakąś obojętność, która wstrzymywała wyznanie, i zmieszany, zdumiały, oddalałem się, przyrzekając w dniu następnym być śmielszym; a za jego nadejściem znowu byłem tak lękliwy jak wprzód.

K L A R Y S S A.

A więc twoja matka jest dla ciebie bardzo surową?..

A R M A N D.

Moja matka!.. to dobroć sama; od pierwszych lat dziecinnych tak moję ufność uwięzić umiała, że aż do tej chwili przywykłem wyjawiać jej wszystko, nawet myśli moje z nią dzielić; z resztą jestem najszcześliwszym, co tylko zapragnę...

K L A R Y S S A.

Słusznie więc że ją kochasz, przenosisz nad wszystko w świecie, i zamiast zachęcać cię do sprzeciwiania się jej woli, lub lekceważenia jej władzy, powiem ci: Wyrzec się myśli, które tylko nieszczęścia naszego mogą się stać przyczyną.

A R M A N D.

Twojego?..

K L A R Y S S A.

Tak jest... przez litość, przez wzgląd dla mnie, porzuć złudzenie niepodobne do ułatwienia. Będąc ostatnią z tak świetnej rodziny, wiem jakie obowiązki wkłada na mnie moje

urodzenie, i chociaż bez majątku, moje nazwisko może mi także nadawać pewną dumę; a jeżeli nie jesteś równie jak ja obdarzony mocą i odwagą aby cierpieć w milczeniu, trzeba nam się rozłączyć i nigdy się nie widzieć; ja wynajdę sposób....

A R M A N D.

Ja mam żyć bez-ciebie!.. niepodobna, i nicby nie wstrzymało wyznania moich cierpień i moich zamysłów, gdyby tylko jeden wyraz z ust twoich Klarysso... Od niego zależy szczęście moje.

K L A R Y S S A.

Jako, chceszli abym ci wyjawiała to co moje serce chciałoby ukryć przed sobą samém?

A R M A N D.

Ah jakżem szczęśliwy!.. Klarysso, będziesz moją, przysięgam u nóg twoich!..

K L A R Y S S A.

Co czynisz?.. Józef, dawny sługa.. zapewne widział...

## SCENA II.

ARMAND, KLARYSSA, JÓZEF. (*wchodząc  
z drzwiami z prawej*)

ARMAND. (*z niecierpliwością*)  
Czego tu chcesz?..



J Ó Z E F.

Ja nie nie chcę... Kiedy się jest służącym od 30 lat w jednym domu, nie można nic nie robić... dla tego dopełniam zwykłego nadzoru. Przyszedłem zobaczyć czy w tym salonie wszystko jest w swoim miejscu... (*ze znaczeniem*) Czy nakoniec wszystko tak jest jak być powinno... i nie sądzę...

A R M A N D.

Co przez to rozumiesz?..

JÓZEF. (*porządkując niektóre meble*)

Mówię że dobrze uczyniłem, wchodząc tu dla przywrócenia porządku... ponieważ dziś wieczór Łędzie bal wielki... zgromadzenie...

A R M A N D.

Józefie, nadużywasz przywileju starego sługi. Ale ja jestem coś więcej aniżeli ty w tym domu.

J Ó Z E F.

W jednym względzie... być może... ale z drugiej strony... pan tu nie jesteś tak dawno jak ja... Niema ani jednego krzesła, stolika, którego bym nie starł, i nie oczyścił tyle razy, że to przyzwyczajenie...

A R M A N D.

No dobrze.. dobrze.

J Ó Z E F.

Współkolegami nas prawie uczyniło... Uważam się w domu jak mebel.

A R M A N D.

Tak, ale pamiętaj że meble czasem odmieniają, zwłaszcza kiedy się zestarzeją.. i mógłbym bardzo łatwo oddaleniem ukończyć...

J Ó Z E F.

Mnie panie!.. Cierpię za pana kiedy mówisz do mnie w ten sposób... czy podobna?.. czyliżby panu nie brakowało zawsze czegoś, gdyby mię tu nie było, mnie abym cię kochał, (*widząc poruszenie Armanda*) aby cię miał kto niecierpliwic?.. To jest pańska natura i moja, a nie tak łatwo naturę zmienić można.

A R M A N D.

Dosyć tego!.. gdzie jest moja matka?..

J Ó Z E F.

W swoim pokoju, pytała o pana, gdyż zazwyczaj... (*patrząc na Klaryssę*) ona jest pierwszą każdego poranku której uścisk twój panie należy...

ARMAND. (*surowo*)

Przestań! (*do Klaryssy*) Idę do niej i powiem...

K L A R Y S S A.

A ja dokończę ubioru.. (*z cicha wskazując mu drzwi na prawo*) Do widzenia; jeżeli mię kochasz, odważnie!... (*wychodzi drzwiami na lewo*)

### SCENA III.

ARMAND, JÓZEF.

ARMAND. (*n. s. z trwogą*)

Tak ... słusznie mówi... odważnie... (*głośno*)  
Mówisz, że można widzieć się z moją Matką?  
czy nie cierpi?...

J Ó Z E F.

Jeszcze cokolwiek... Moja żona usłyszawszy  
tój nocy jakiś głos w jej pokoju, wbiega. Pa-  
ni spała, i w niespokojnym śnie głośno woła-  
ła... « Mój synu!.. mój synu! »

A R M A N D.

Jako! nawet we śnie zajmuję jeszcze jej myśl  
i serce!...

J Ó Z E F.

Jej myśl!... ona jedyną tylko zajęta... tobą  
panie... była zawsze za nadto dobrą; słyszałem,  
że nie tak wychowują dzieci, i gdyby była  
słuchała mojego zdania...

ARMAND. (*n. s.*)

! Zasmucić ją!.. trzeba jednakże.. (*do Józefa*) Jest \*samą?... (*chce odejść*)

J Ó Z E F.

Notariusz był u niej od południa; i nie wiem czy jest jeszcze...

ARMAND. (*zatrzymuje się*)

Kiedy tak, nie chcę przeszkadzać; później mam czas... nic nie nagli...

J Ó Z E F.

Niech pan wejdzie.. nie będziesz się gniewał...

A R M A N D.

Co?...

J Ó Z E F.

Przypominasz pan sobie tę wioskę de la Vaupalière, gdzie byłeś w miesiącu Październiku i wróciłeś cały zachwycony.

A R M A N D.

Piękna posiadłość.. polowanie najdoskonalsze w świecie!

J Ó Z E F.

Pani ją kupiła.

A R M A N D.

Czy podobna?... Ah to dla mnie.

J Ó Z E F.

A dla kogóżby innego?... pewno nie dla

mnie... Zamek gotycki... pokoje ogromne... czyścić je i froterować praca niemała!.. ale pani, która zazwyczaj jest bardzo rozsądną, gdy idzie o dobro pana poświęciłaby przyszłość, majątek, zdrowie... To źle, ja mojemu synowi inne daję wychowanie... mój mały Józef, nigdy odemnie nic nie dostanie, bo się boję żeby mi się niewdzięcznością nie wypłacił. Słyszę panią mówiącą... Niechże jej pan podziękuje... a ponieważ chcesz z nią mówić...

A R M A N D.

W tej chwili... nie mogę... ważny interes... muszę być w umówioném miejscu... w kawiarni Tortoniego. *(wychodzi głębia)*

## SCENA IV-

JÓZEF, potem P.<sup>o</sup> DERMILY.

J Ó Z E F.

Poszedł... zamiast podziękować Matce.. uściśkać ją... Ah ta młodzieź!.. ta młodzieź!.. otóż to kiedy się ją psuje... mój nie będzie takim.

P. DERMILY. *(wchodząc z prawej)*

Sądziłam, że tu znajdę mojego syna... czy wyszedł?...

J Ó Z E F.

Tak pani... ważny interes... schadzka u Tor-toniego... zapewne jaka hulanka.

P. D E R M I L Y.

Niech się bawi.. niech będzie szczęśliwy!.. te-go tylko pragnę, i dla tego nie zatrzymuję go nigdy przy sobie, aby z większą przyjemnością wracał w moje objęcia.

J Ó Z E F.

Daj Boże aby pani nie żałowała kiedy swo-jej słabości!..

P. D E R M I L Y. (*uśmiechając się*)

Wiem co cię przestrasza... podług ciebie, miłość ojcowska zasadza się na surowości i kar-ności bez granic... widziałam twój syna jak drżał przed tobą.

J Ó Z E F.

Tak, i pysznię się z tego... trzeba żeby dzie-ci nas szanowały.. żeby nas się bały.

P. D E R M I L Y.

Lepiej żeby nas kochały.

J Ó Z E F.

Zobaczysz pani, dokąd podobne myśli do-prowadzą... i gdyby pani wiedziała to co ja wiem... Pan Armand który w oczach pani jest tak rozsądnym...

P. D E R M I L Y.

I cóż!..

J Ó Z E F.

Mogę to powiedzieć, ponieważ już się stało,.. ale od dwóch lat... ja byłem oddawcą listów.. od dwóch lat zajęty tą młodą wdową..

P. D E R M I L Y. (*obojętnie*)

Tak.. powiedział mi o tem....

J Ó Z E F.

Czy podobna!..

P. D E R M I L Y.

Uczucie bardzo żywe... stałość wieczna, trwała sześć miesięcy... Mogę żądać aby mój syn w 24 roku był wolny od namiętności swego wieku, i w tej chwili wyznam ci, dręczy mnie jakaś nowa obawa, i zuiewala przyspieszyć zamiysł, który może opóźnić byłoby rozsądniej.. Pragnę ożenić mojego syna; znaleźć mu dobrą żonę, z charakterem łagodnym, cnotliwą. Wszystko to nie szukając daleko znalazłam w mojej własnej rodzinie, w Matyldzie mojej siostrzenicy.

J Ó Z E F.

Córka pana de Nanteuil, którego majątek wyrównywa...

*Tom IX.*

2-

P. D E R M I L Y.

Już od dawna, ten związek był naszym ulubionym zamysłem i marzeniem mojej biednej siostry... nie mówiłam nic o tem mojemu synowi, gdyż małżeństwa wczesnie układane nigdy prawie nie przychodzą do skutku. Prócz tego, mój szwagier mieszkał w Bordaeux ja w Paryżu, a tak nasze dzieci nie mogły się widywać ani pokochać... ale Matyldę w 16 roku, po śmierci jej Matki, sprowadziłam do Paryża i oddalam na pensję gdzie podług życzeń ojca dokończyła edukacji... Jest to anioł łagodności i dobroci... i tak przyjemna, tak ładna, że podług mnie, nie podobna jej niekochać... dla tego dziś daję wieczór tańczący i pewna jestem, że jej niewinność, młodość i wdzięki uczynią wrażenie na sercu mojego syna...

J Ó Z E F.

A ja lękam się, czy tu nawet pewna osoba...

P. D E R M I L Y.

Któż taki?... Co przez to rozumiesz?... czy dostrzegłeś?...

J Ó Z E F.

Nic jeszcze aż do tego rana, kiedy wchodząc przypadkiem do salonu znalazłem pana



Armand przy pannie Klaryssie; z pewnością tego powiedzieć nie mogę żem go widział u jej nóg klęczącego, bo pani wie że mam słaby wzrok... ale słyszę dobrze... i niewątpliwie słyszałem to... (*całuje swoją rękę*) albo coś podobnego.

P. D E R M I L Y.

Klaryssa, moja wychowanica?.. nie, to być nie może... (*zatrzymując się z rozwagą*) Jednakże aż dotąd odrzucała wszystkie połączenia się..

J Ó Z E F.

Rzecz jasna.

P. D E R M I L Y.

I nie mogę tego ukryć przed sobą że jej przebiegłość, zalotność...

J Ó Z E F.

I jej duma!..oh, już tak jest dumana!.. szczególnie ze służącemi...

P. D E R M I L Y.

Z drugiej strony, smutek mojego syna... który dawniej był tak wesołym, trzpiotem...

J Ó Z E F.

Dowód że zakochany.

P. D E R M I L Y.

Jakto?..

J Ó Z E F.

Już ja dobrze uważałem... ile razy się zakocha, zawsze jest smutny i melancholiczny... a skoro wesołość powraca, znak że i serce pozbyło się kłopotu.

## SCENA V.

P. DERMILY, MATYLDA, JÓZEF.

MATYLDA. (*wchodząc głębią*)

Dzień dobry, kochana ciociu... ah jak jesteś dobrą i łaskawą żeś mię raczyła przywołać z pensji... i jeszcze jak mi mówiono, na ośm dni.

P. DERMILY.

Tak jest moje dziecię..

MATYLDA.

Oh skakałam z radości!.. to było źle z mojej strony, albowiem porzucając Madam i moje towarzyski powinnam się smucić!.. ale nie mogłam, byłam zbyt szczęśliwą. Pozwól się jeszcze raz uściskać najdroższa ciociu.

J Ó Z E F.

Ładniuchne stworzenie!..

MATYLDA.

Ale ten stary jegomość... z siwemi włosami!.. czy to nie Józef, który mi niegdyś pozwalał tańczyć na swoich kolanach?..

J Ó Z E F.

Poznała mię panienska?..

MATYLDA. (*idąc do niego*)

Jak się masz mój dobry Józefie?..

JÓZEF. (*na stronie z wzruszeniem*)

Otóż ta wcale nie jest dumną... dobry znak....

M A T Y L D A.

Czy bardzo się odmieniłam?..

J Ó Z E F.

A ja?..

M A T Y L D A.

Nie, wcale!.. ponieważ mię zawsze kochasz, nieprawdaż!.. no, łajze mię jeszcze jak dawniej, bo zawsze mię łajałeś, przypominam sobie.

JÓZEF. (*patrzac na nią*)

Niema powodu...

M A T Y L D A.

Oh na tych nie braknie: mówią wszyscy że jestem trzpiotką, i przekonujęm się że to prawda, wszakże tak moja ciociu?..

P. D E R M I L Y.

Ten błąd niech na zawsze w tobie pozostanie... i bądź taką jak jesteś... (*patrzac na nią z tkliwością*) Jesteś tak dobrą w moich oczach.

M A T Y L D A.

Tém lepiej... bolałoby mię niezmiernie

gdybym ci się przeciwnie wydawała, zwłaszcza od chwili kiedy mój ojciec powierzył mi swoje zamysły...

P. D E R M I L Y.

Co mówisz moja córko?..

M A T Y L D A.

Tak przed odjazdem... dał mi do zrozumienia: że ja, twoja siostrzenica.. mogłabym otrzymać od ciebie, kiedyś, słodsze jeszcze nazwisko.. to, które wymówiłaś przed chwilą... Córki twojej.

P. D E R M I L Y.

Jako! twój ojciec ci powiedział?.. (*nastro-  
nie*) Co za nieroztropność.

MATYLDA. (*z żywością*)

Ja nikomu o tem nie mówiłam... Ale odzyskać w tobie utraconą matkę!.. ta myśl, czyni mnie tak szczęśliwą, że nie mogę jej oddalić z mojej pamięci; i wszelkich dokładam usiłowań ażeby twoja córka nie była niegodną ciebie... Najprzód pracuję od rana do wieczora.. to mię nudzi straszliwie, ale nic nie szkodzi, umiem już po angielsku, po włosku, prawda że nie bardzo; ale zawsze będziemy mogły już ze sobą rozmawiać; potem znam

się na haftowaniu, posiadam cokolwiek muzykę, malarstwo, zobaczysz dwie miniatury które z sobą przyniosłam... miniaturę mojego ojca i moję.

P. DERMILY. (z radością)

Czy być może?..

M A T Y L D A.

Ah mój Boże!.. chciałam cię kochana ciociu niespodziewanie zadziwić.. ale mniejsza o to, wszakże i tak będziesz przyjemnie zdziwioną, nieprawdaż?.. Chciałam jeszcze doświadczyć sił moich w wymalowaniu innej miniatury, a która zapewne bardziej byłaby ci przyjemną... ale nie wiem dla czego, nie śmiałam..

P. D E R M I L Y.

Kogożeś chciała odmalować?..

M A T Y L D A.

Twojego syna ciociu.

P. D E R M I L Y.

Jako, pamiętasz jeszcze rysy twojego kuzyna?..

M A T Y L D A.

Przecież go nie bardzo dawno widziałam. Kiedy marszałek zwiedzał pensję w St. Denis,

było z nim kilka osób, dwóch Jeneralów starych, i kilku młodych Adjutantów, a my pensjonarki stojąc razem przypatrywałyśmy się muodrom.

P. D E R M I L Y.

I młodym oficerom?..

M A T Y L D A.

Bardzo mało... bo wiesz dobrze moja ciociu, że na pensji trzeba zawsze stać prosto, oczy spuszczone... ale jedna z moich towarzyszek, Augusta, szepnęła mi z cicha: »Spojrzyj no na tego młodego oficera, przy boku Marszałka..« I muszę wyznać że mi się bardzo podobał, i innymi pannom także... bo w wieczór każda o tem tylko mówiła: »jak zgrabny!.. przyjemny, jakie ułożenie, jakie wąsiki!..« Uznano go za najprzyjemniejszego mężczyznę, tak, uznano przez sąd przysięgłych złożony z dwóstu panien. Wyobraź sobie kochana ciociu moje zadziwienie, kiedy nasza Ochmistrzyni, wymieniając nazwiska wszystkich znajdujących się w świecie Marszałka powiedziała: że ten młody Adjutant był pan Armand Dermily mój kuzyn.

P. D E R M I L Y.

Jakto!..

M A T Y L D A.

Tak kochana ciociu!.. wszystkie panny mówią żem bardzo szczęśliwa będąc jego kuzynką... osądź więc, gdyby były wiedziały: (z żywością) ale możesz być pewną żem nic nie powiedziała.

P. D E R M I L Y.

To dobrze, bardzo dobrze...

M A T Y L D A.

Ale myślałam sobie... bo w tém zdarzeniu było coś nieprzewidzianego... zadziwiającego... jakby traf losu!.. rozumiesz mię ciociu?.. nie dla tego ażeby mi co innego przez głowę przejść miało; ale mówiłam do siebie: Kiedy zobaczę mojego kuzyna, a to nastąpić musi... będzie śmiesznie jak mu powiem że on mię nie zna, a ja go znam doskonale. Ale mu ciocia nie powie, co mówiłam przed chwilą... że on mi się bardzo... o nie!. moja ciociu, to nie wypada... (do Józefa) Ani ty Józefie... to zostanie między nami. (Józef przechodzi na prawą stronę pani Dermily) Ale przebacz mi ciociu... ja mówię i mówię...

weźmiesz mię za gadatliwą.. nie, ja nią nie jestem... wierzaj mi... jestem tylko uradowaną.

P. D E R M I L Y.

I ja także.. teraz cieszy mię wasze spotkanie; i powiesz to sama dziś wieczór twojemu kuzynowi, jak z nim tańczyć będziesz pierwszego kontredansa.

M A T Y L D A.

Co mówisz ciociu?.. bal!..

P. D E R M I L Y.

Dla ciebie moje dziecię.

M A T Y L D A.

Ah jak jesteś dobrą... jakaż rokosz!.. bal... bal.. ale trzeba było mię o tém uprzedzić... ja mam tylko suknie w których na pensji chodzę.. Nie dla mnie bym się ubrać chciała... ale dla mojego kuzyna... (z obawą) Chciałabym żeby mię znalazł piękną... i żeby dziś wieczór myślał to o mnie.. co my wszystkie onim myślały... (z żywością) Ale może ja tego nie powinnam mówić?

P. D E R M I L Y.

I owszem moje dziecię.



MATYLDA. (*wesoło*)

Tém lepiej... nie myślmy o tém..., przyjemność, że będę tańczyć wyrównywa przyjemności być piękną...

P. DERMILY. (*biorąc jój rękę*)

Jako?.. czy tylko takie porównanie... czy tylko taka chęć podobania się?.. (*do Józefa*)

A cóż nie mówiłam ci.. co za skarb!.. (*do Matyldy*) No moje dziecię... w twoim pokoju znajdziesz suknię balową dla ciebie przeznaczoną.

MATYLDA. (*skacząc z radości*)

Ah moja kochana ciociu!.. (*z żywością*) A są kwiaty przy niej?..

P. D E R M I L Y.

Są...

M A T Y L D A.

Girlanda?..

P. D E R M I L Y.

Tak jest... do mnie należała ozdoba mojej lubej córki.

M A T Y L D A.

Mójej córki!.. ah ciociu jakże cię Kocham kiedy mię tak nazywasz!.. (*ciekawie*) Ale powiedz mi... ta suknia... czy nie mogę jej zobaczyć i spróbować?.. nie dla tego żebym była

niecierpliwą lub ciekawą... ale zawsze chcia-  
bym wiedzieć czy dobrze mi w niej będzie.

P. D E R M I L Y.

Słusznie. Józefie, powiedz twojej żonie aby  
zaprowadziła Matyldę do jej pokoju, obok me-  
jego.

J Ó Z E F.

Dobrze pani..

M A T Y L D A.

Do widzenia moja ciociu, do widzenia.. (*wa-  
chając się*) moja matko...

P. D E R M I L Y. (*ściskając ją z żywością*)

Moja corko... jeszcze nie... ale w krótkce, mam  
nadzieję. (*Matylda wychodzi z Józefem drzwia-  
mi na prawo*)

## SCENA VI.

P. D E R M I L Y. później ARMAND.

P. D E R M I L Y.

Gdy ją mój syn pozna... będzie bardzo szczę-  
śliwy odbierając z moich rąk dar podobny..  
(*Armand wchodzi z głębi*) To on! jak smu-  
tny!...

ARMAND. (*n. s.*)

Moja matka!... cofnąć się niepodobna... od-  
ważnie... (*idzie ku niej i całuje w rękę*) Mogę

ci nakoniec podziękować droga matko za twoje nowe dobrodziejstwa... Dowiedziałem się od Józefa, że nabyłaś tę piękną posiadłość...

P. DERMILY. (*z wzruszeniem i dobrocią*)

Wspominałaś mi tylekroć o niej... zdawałaś się pragnąć... a jedyne moje szczęście, czynić zadość twoim życzeniom, kiedy mi są wiadome, (*patrzac na niego z uwagą*) lub przynajmniej gdy je odgadnąć mogę.

ARMAND. (*n. s.*)

Jeżeli do mnie tak mówić będzie, nigdy się nie odważę...

P. DERMILY.

A potem, mamże ci wyznać, miałam jeszcze inne myśli kupując tę posiadłość.

ARMAND.

Jakież?..

P. DERMILY.

Mam nadzieję że będzie dla ciebie.. pod warunkiem ślubnym odemnie.

ARMAND.

Co słyszę?..

P. DERMILY. (*siada i daje znak aby usiadł przy niej*)

Usiądz przy mnie... pomówimy z sobą...

Tom IX.

3

Już od dawna nie mówiliśmy sam na sam, a zdaje mi się że masz jakąś prośbę.

A R M A N D.

Tak jest matko.

P. D E R M I L Y.

Byłam tego pewną... moje serce mi to powiedziało... posłuchaj mię, potem mówić będziesz...Kiedyś została wdową, byłam jeszcze młodą, cała moja familja chciała abym w nowe weszła związki. Sprzeciwiłam siętemu będąc pewną, że drugi małżonek oddając mi swoje serce żądałby odemnie przywiązania, które do ciebie wyłącznie należy. Będąc Panią majątku już znacznego, zachowywałam go starannie, powiększyłam nawet mój synu!... przekonana, że kiedyś będziesz go używał tak uczciwie jak został nabyty.

A R M A N D.

Ah matko, oddal te myśli!

P. D E R M I L Y.

Pragnę więc, abys się ożenił... ale chciałabym przedewszystkiēm aby mój wybór był z twoją chęcią zgodny.

A R M A N D. (*z radością*)

Uspokoj się matko, to jest właśnie i moja

myślą... jeżeli ci bowiem mam wyznać... kocham już tak jak nigdy nie kochałem...

P. DERMILY. (*na stronie*)  
O Nieba!..

ARMAND. (*z zapalem*)

Jeżeli jej nie posiędę, niema dla mnie szczęścia na ziemi.

P. D E R M I L Y.  
I któż?..

A R M A N D.

'Twoja wychowawca matko... Klaryssa.

P. DERMILY. (*na stronie ostupiała*)  
A więc prawda!?!..

A R M A N D.

Moja matko, twoja ręka drży!.. ty cierpisz!..

P. DERMILY. (*starając się przyjść do siebie*).  
Nie, nie mój synu... ja również z tobą pragnę twojego szczęścia. (*wstaje i Armand także*)

ARMAND. (*z radością*)  
Czy być może?..

P D E R M I L Y.

Ale pozwól mi powiedzieć ci... Aby to szczęście zabłysło dla ciebie, trzeba być pewnym osoby, której się je powierza. Najprzód jej familja...

A R M A N D.

Jest szlachetną... Ojciec jój Margrabia de Villeneuve...

P. D E R M I L Y.

Zostawił jój piękne imię, wiem... i to właśnie mię zatrważa... bo my jesteśmy tylko negocjantami... (*Armand czyni poruszenie*) bankierami kiedy tego chcesz... i zamiast stosowności w tym związku, oni raczėj będą uważać się za naszych protektorów; nawet żona twoja podobnemi napojona wyobrażeniami, da ci uczuć kiedyś, że cię raczyła wznieść aż do siebie.

A R M A N D.

Co Klaryssa?..

P. D E R M I L Y.

Nie jest, równie jak inne, wolną od przesądów; będąc od młodości w Londynie, na łonie możnej familji u Lorda Carlisle, jednego z pierwszych Parów Królestwa, wyczerpała tam wszystkie uczucia arystokracji Angielskiej, a jeżeli teraz poprzestanie na twoim majątku, pewnie tylko dla braku ponętniejszych widoków.

A R M A N D.

Oh nie matko!

P. D E R M I L Y.

Łatwo mi nawet będzie do wiesdz ci tego...  
Edgar, drugi syn Lorda Carlisle, równie jak  
ty jej wdziękami został ujęty...

A R M A N D,

Czy podobna!..

P. D E R M I L Y.

Nie obwiniam wcale Klaryssy, żeby mu  
wzajemną była; ale później, kiedy mojej o-  
piece została poruczoną, dla czegoś z pogar-  
dą odrzucała wszelkie związki, które pragnę-  
łam przywieść do skutku.

A R M A N D.

Ponieważ jej serce do mnie należało, po-  
niważ mię kochała... bo nieznasz jej jeszcze  
matko... nie wiesz: że ona sama chciała mię  
odwrócić od tej miłości, i z obawy aby cie-  
bie nie zasmucić, pragnęła oddalić się ode-  
mnie... odemnie którego kocha i jest naj-  
tkliwiej kochaną.

P. D E R M I L Y.

Zwodzisz mię mój synu: i przyznajesz jej  
przymioty, których nie posiada.

A R M A N D.

Jakąkolwiek ona jest, Kocham ją..

3\*

P. D E R M I L Y.

Ale synu...

A R M A N D.

Kocham ją, i kochać będę wiecznie!..

P. D E R M I L Y. (*z niecierpliwością*)

Wiecznie!. możesz tak mówić, o uczuciu naglém, gwałtowném, które namiętność wznieciła, a rozsądek ustalić nie zdoła?... Wszakże i inne kochałeś?.. każdą na całe życie... a w końcu kilku miesięcy wieczna miłość znikła... I ta może mieć ten sam skutek.

A R M A N D.

Nigdy!. Nigdy!. co za różnica!

P. D E R M I L Y.

Ale bo i ja także miałam dla ciebie przeznaczoną... Anioł piękności i słodyczy...

A R M A N D.

Napróżno!..

P. D E R M I L Y.

Zobacz ją przynajmniej... oto wszystko czego żądam od ciebie.

A R M A N D.

Na cóż droga matko?.. Kocham Klarysę. Nigdy innej kochać nie będę!.. I żadna moc nie zdoła mię odwrócić od połączenia z nią.



P. D E R M I L Y.

Nawet nieszczęście twojej matki!..

A R M A N D.

O nieba!.. co mówisz?..

P. D E R M I L Y.

Myślałam: iż posiadam przywiązanie mojego syna... mojem życiem była miłość twoja... utracić ją, jest to umrzeć!..

A R M A N D.

Ah wierzaj mi matko, że moje uczucia dla ciebie..:

P. D E R M I L Y. (*obojętnie*)

Nie mogę im wierzyć, i nie odwołuję się do nich... (*zgodnością*) Ale pozostają mi jeszcze inne prawa... Pozbawiona przywiązania syna... sędzę że niktakiego nie uczyniłam, co by mię pozbawiło przynależnego mi szacunku i posłuszeństwa.

A R M A N D.

I które zawsze dla ciebie w mojem sercu tkwić będą!.. Ah powiedz... choćbyś żądała!.. jeżeli to będzie rozkaz... będę posłusznym.

P. D E R M I L Y.

Mogłabym więc powiedzieć: Zabraniam ci tego związku.

ARMAND. (*z boleścią*)

A więc za braniaasz?..

P. DERMILY.

Nie; ale błagam cię, chroń się nieszczęścia...  
na kolanach!.. (*chce klęknąć*)

ARMAND.

Ah!.. matko moja!.. będę ci posłusznym..  
nie ożenię się.. chcesz tego... lubo nie zrównać  
nie zdoła moim cierpieniom... ale prośba  
twoja nie będzie nadaremna... Pójdę do  
Klaryssy... powrócę jej przysięgę... powiem,  
że wyrzekam się jej na wieki!.. Czy zadowolona  
jesteś matko?..

P. DERMILY.

Tak, tak, zupełnie. (*Armand odchodzi*)  
Synu oddalasz się... nieuściskawszy mię?..

ARMAND. (*wraca, ściska matkę i mówi  
odchodząc*)

Ah!. jestem bardzo nieszczęśliwy! (*wchodzi  
do pokoju na lewo*)

## SCENA V.

P. DERMILY, potem MATYLDA.

P. DERMILY. (*z wzruszeniem, patrząc za odchodzącym*)

Cierpi.. jest nieszczęśliwym!.. i ja stałam się

tego przyczyną, ja która poświęciłabym wszystko dla jego pomyślności.. (stale) Tu idzie właśnie o jego szczęście, i cokolwiek bądź się stanie, nie będę żalowała... Uczyniłam moje powinność.

MATYLDA. (w sukni balowej wchodzi z prawej)

Ciociu, kochana ciociu;.. patrz!...

P. D E R M I L Y.

Ah, to ty moje dziecię.. dobrze.. bardzo dobrze.. z rozkoszą ci się przypatruję.. (n. s.)  
W niej tylko nadzieja..

M A T Y L D A.

O wszystkim pamiętałaś.. nawet o bukietcie. Czy tak dobrze?.. moja ciociu, dopiero pierwszy raz będę na balu.. na prawdziwym balu; bo u nas miewałyśmy często bale, ale cóż z tego, mężczyzna nie było! nauczyciel chodził tylko od jednej do drugiej, i nie można było domyśleć się czy to lekcja, czy bal. Dla tego też nie przyzwyczajona, próbowałam sobie nie dawno przed zwierciadłem, jak też ja zrobię, gdy mię kto zaprosić przyjdzie... (siada i nachylaając się) Bardzo chętnie panie, jeżeli to nie Armand... bo jeżeli on, powiem: dobrze mój kuzynie.

P. DERMILY. (*przełękła*)

Ale gnieciesz suknię..

MATYLDA. (*wstając prędko*)

A prawda... ale dla czego też nie przybywają?... czas się traci napróżno.

P. D E R M I L Y.

Ciche, ktoś idzie. (*n. s.*) To Klaryssa.

## SCENA VIII

KLARYSSA, MATYLDA, P. DERMILY.

KLARYSSA. (*wychodzi z lewój strony w sukni balowój, zamysłona*)

(*n. s.*) Był posłusznym matce... wyrzekł się mojej ręki.. szczęściem jedno moje słowo zmieniło wszystkie jego postanowienia... i teraz mam nadzieję, że już znikła wszelka dla mnie obawa... (*spostrzegając p. Dermily*) Ah, to ty pani?... .

P. D E R M I L Y.

Jużes ubrana... to dobrze.

M A T Y L D A.

Oh jak ona jest ładną!..

P. DERMILY. (*do Klaryssy wskazując Matyldę*)

Moja siostrzenica Matylda... moja wychowanka...

MATYLDA. (*przechodząc do Klaryssy*)

Prawie siostra!.. będę bardzo szczęśliwą, jeżeli mię za taką uważać będziesz, i nie odmówisz twojej przyjaźni.

K L A R Y S S A.

Pani!..

M A T Y L D A.

Oh bardzo jej potrzebuję, szczególnie na tym balu będziesz moją przewodniczką.. Ja nic nie wiem...

K L A R Y S S A. (*z ironją*)

Panna dopiero z pensji?..

M A T Y L D A.

Tak.

K L A R Y S S A; (*j. w.*)

Łatwo poznać można.

P. D E R M I L Y. (*z znaczeniem*)

Prawda, łatwo poznać po jej szczeroci, zwierzeniu się. (*muzyka się odzywa*)

M A T Y L D A.

Będę patrzyła na ciebie, i dołożę wszelkich starań, aby cię naśladować... jeżeli to podobna.

K L A R Y S S A.

Nie potrzebujesz tego, i możesz być pewną, że się podobasz...

MATYLDA. (*naiwnie*)

Czy tak myślisz?...

K L A R Y S S A.

Jak tylko cię poznają... jak tylko wymienią twoje nazwisko... Któż jest ta młoda osoba?.. Panna Matylda de Nanteuil... Ta bogata dziewczeczka... Cała młodzież cisnąć się będzie około ciebie.. i możesz być pewną, że ani jeden kontredans cię nie minie...

M A T Y L D A.

Jakto?. więc tylko dla tej przyczyny?

K L A R Y S A.

Można być piękną lub brzydką,... tańczyć dobrze lub źle... być zgrabną lub nie... wszystko mało znaczy.. posag zwraca na balu uwagę wszystkich... i wyznają: często moja dumę się tem obraża...

M A T Y L D A.

Prawdaż to moja ciociu?...

P. D E R M I L Y.

Nie moje dziecię... na dowód, Klaryssa będzie bardzo dobrze widzianą... pomimo tego, że nie jest bogatą...

K L A R Y S S A.

Cierpliwości!... przyjdzie i na mnie kolej.

*(muzyka mocniej słyszeć się daje p. Dermily wychodzi na chwilę)*

MATYLDA. *(patrzac na salon wglębi)*

Bal się zaczyna... a Armanda nie ma.

P. D E R M I L Y.

Idźcie do salonu tam go zapewne znajdziecie ...

## SCENA IX.

P. DERMILY. *(sama, oglądając się do koła)*

Rzecz szczególna... nie widać mojego syna... Ah ... zdaje mi się że go postrzegam w tłumie... zapewne zeszedł do salonu dla przyjmowania gości... dobrze... byłam niespokojną .. A Józef... gdzież on jest... potrzebuję go.

*(Józef ukazuje się wglębi, niosąc półmisek w ręku)*

## SCENA X.

-JÓZEF, P. DERMILY.

P. D E R M I L Y.

Ah, Józefie!..

J Ó Z E F.

Bylbym cały dzień stał i przypatrywał się...

Tom IX.

4

P. D E R M I L Y.

Komu?..

J Ó Z E F.

Pannie Matyldzie... Jak ją też przyjęli przy wejściu do salonu.. wszystkich oczy są na nią zwrócone, a potem powstał ogólny szmer... bardzo przyjazny...

P. D E R M I L Y.

A mój syu czy był tam?..

J Ó Z E F.

Nie pani...

P. D E R M I L Y.

Czy go jeszcze niema w salonie?..

J Ó Z E F.

Nie pani.

P. D E R M I L Y.

Jeszcze tego pewnym?..

J Ó Z E F.

Obawiam się, że go nie będzie przez cały wieczór.

P. D E R M I L Y.

Dla czego?..

J Ó Z E F.

Kilka chwil temu, schodząc do kredensu po ten półmisek... spotykam się z panem Armand, który skrycie małemi schodkami wciśkał się na dziedziniec... »Jakto, pan nie u-



brany jeszcze o tej godzinie?... a gdyż nie był ubrany balowo... »Nie.. muszę wyjść.« Dla czego?... gdzież pan idziesz?... »Bądź cicho, żeby moja matka się nie dowiedziała, sądzę, że tobie Józefie mogę zaufać.« Pani się domyślasz co mu odpowiedziałem. «A więc nie mów nic mojej matce, a jeżeli o 11 godzinie nie będę w salonie, oddaj ten list pannie Klaryssie... jej samej, rozumiesz?... jej samej i to skrycie.« Oto jest. (*oddaje*)

P. DERMILY. (*biorąc list*)

Sądzę że mam prawo czytać listy do mojej wychowanki... choćby te nawet były od mojego syna. (*otwiera list i przeczytawszy kilka wierszy, mówi*) Boże!..

JÓZEF. (*przełękły*)

Cóż to jest?..

P. DERMILY.

Nic, nic... już jestem spokojna .. wiem teraz gdzie się znajduje... niech cię to nie smuci... (*czyta raz jeszcze*)

J Ó Z E F.

Ah, kiedy pani jesteś spokojną.. (n. s.) Jednakże to wzruszenie.. (głośno) Pani mię już nie potrzebuje.. czy mogę pójść do salonu?..

P. D E R M I L Y.

Tak Józefie.. tak mój przyjacielu... Ale nie wiem... prosz Klaryssę niech czyni honory domu... Bądź spokojny... wszystko idzie dobrze.

J Ó Z E F.

Bogu chwała!.. (n. s.) Biedna pani... zle tam muszą być nowiny. (wychodzi głębia)

## SCENA XI.

P. D E R M I L Y. (sama, czytając list)

»Chciałem uciec od ciebie, być posłusznym matce... jedno twoje spojrzenie zatrzymało mię...« (z boleścią) Ah mój synu!.. (czyta) »Ale matka nigdy nie zezwoli na ten związek, którego teraz nie zerwać nie może; jak mówiłaś, pozostaje nam tylko oddalić się potajemnie. Niech więc cię to nie nabawia niespokojnością, że mię nie widzisz na balu... Zajmuję się przygotowaniem do naszej ucieczki... a gdy się rozjadą, zejdź do małego

salonu...?.... tam czekać będzie kochający cię  
wiecznie....\* (*opuszcza zwolna głowę, chwila  
milczenia.*)

Czytałam.. a niemogę jeszcze uwierzyć..  
porwanie!.. mój syn mię opuszcza, i on wy-  
nalazł sposób... oh nie... to Klaryssa... (*z bo-  
leścią*) Ale on zezwala.. miałyby zostać jego  
żoną!.. Boże!.. Boże!.. co czynić?.. poddać  
go żalowi, wyrzutom... nieszczęściu... a może  
nawet i wstydowni...! nie, nie, nigdy... Odwa-  
żnie!.. nie ustąpię jeszcze zwycięstwa..

## SCENA XII.

P. DERMILY, MATYLDA.

M A T Y L D A.

Moja ciociu.. już tam dłużej pozostać nie  
mogę... tak smutno, zawsze myślałam że mój  
kuzyn przyjdzie mię zaprosić... i ten taniec..  
muzyka.. te ubiory... wszystko co mię ota-  
czało.. było zachwycającem... czekając na  
niego; ale teraz jestem utrudzoną, znudzoną,  
i już nie mam wcale ochoty tańczyć... wcale...

to jest, jeszcze raz tylko może... i to jeszcze nie wiem...

P. D E R M I L Y.

Biedne dziecię!..

M A T Y L D A.

Może mój kuzyn późno przyjdzie?..

P. D E R M I L Y.

Dziś już go nie będziesz widziała... nieprzewidziany.. nieodbity interes, zatrzyma go przez cały wieczór.

M A T Y L D A.

Onieba!.. może jaka spekulacja... może utrata...

P. D E R M I L Y. (*z żywością*)

Tak... tak właśnie...

M A T Y L D A.

Ah tem lepiej; a więc moja ciociu, jeżeli prawda co panna 'Klaryssa powiedziała, że jestem bogatą... weźcie nazw majątek: on do ciebie i do niego należy... nie jestem jego żoną?

P. D E R M I L Y.

Dziękuję ci moje dziecię... to nie będzie nic złego, nie obawiaj się... wróci pokój i szczęście... wszystko to zależy odemnie... od mojej odwagi... Dobra noc! Matylde, już późno, wróć

do twojego pokoju, a jutro.. nie wiem jak ci to powiedzieć.. gdyż mię to bardziej zasmuca aniżeli ciebie, jutro odprowadzą cię na pensję.

M A T Y L D A. -

Miałam cały tydzień przy tobie zabawić!.. dla czegoż to?..

P. D E R M I L Y.

Później ci wyjawię; ale w tej chwili nasza przyszłość... pomysłny skutek naszych zamiarów... wszystko zawisło od twojego posłuszeństwa.

MATYLDA. (*wzdychając*)

Jeżeli tak... jestem posłuszną... Dobra noc moja ciociu... Ah jakże mi smutno... mam wielką ochotę płakać...

P. D E R M I L Y.

Dla czegoż?..

M A T Y L D A.

Bo ty sama...

P. D E R M I L Y.

Ja... wcale nie... uściskaj mię... odważnie.. (*Matylda idzie do pokoju na prawo, ale doszedłszy do drzwi, wraca się i mówi ztwarzą smutną*)

M A T Y L D A.

Dobra noc ciociu...

P. D E R M I L Y.

Dobra noc...

*(Matylda wzdycha i odchodzi.)*

## SCENA XIII

P. D E R M I L Y. *(sama)*

Jej widok dodał mi odwagi... jestem teraz spokojniejszą, i mogę... Wszakże mam prawo oddać Klarysę i powiedzieć mojemu synowi: Chcę ażebyś zaślubił Matyldę.. Chcę... moje przekleństwo.. jeżeli nie usłucha mojego rozkazu... a jeżeli go dopełni... nie będzie jej kochał... uczyni ją nieszczęśliwą... a Klarysę jeszcze bardziej uwielbiać będzie.. jest tylko jeden środek... prawda, że zbyt śmiały.. ale jedyny, i jeżeli znam dobrze sposób myślenia mojego syna... *(patrzac w głąb)* Już nie ma nikogo w salonie. Józef gasi światło.. wszyscy się rozjechali... *(zamyka drzwi w głąbi)* Jestem sama... czekajmy mojego syna... *(słucha)* Ktoś idzie małemi schodkami!... serce poznać mi daje, że to on!..

## SCENA XIV.

P. DERMILY, ARMAND.

ARMAND. (*wchodzi z lewej*)

Ah jak mi ten wieczór długim się wydawał...  
a teraz kiedy się zbliża chwila, chciałbym ją  
oddalić... Boże!.. moja matka!..

P. DERMILY. (*z słodyczą*)

Czekałam cię mój synu... zbyt późno przy-  
chodzisz...

A R M A N D.

Tak.. nie mogłem.. musiałem.. czyli raczej..  
myślałem, że obowiązany jestem...

P. DERMILY. (*z słodyczą*)

Zwodzisz mię?.. oh nie... nic cię nie obo-  
wiązuje do tego... Nie mnie spodziewałeś się  
zastać w tem miejscu...

A R M A N D.

Mógłażbyś sądzić matko?...

P. D E R M I L Y.

Wien. wszystko...

A R M A N D.

Jakto!.. powiedziano ci!.. zdradzono mię!..

P. D E R M I L Y.

Nie, dzięki Niebu!.. tajemnica której docie-  
klam przypadkiem, zostaje między nami, i ja

tylko jedna widzieć będę wstyd mojego syna.. (*oddaje mu list*)

ARMAND. (*patrzac na papier*)

Mój list do Klaryssy.

P. D E R M I L Y.

Otworzyłam go... i cóżem przeczytała?... ucieczka... porwanie... Ah mój synu!.. gdybyś mię prosił o radę... gdybyś był mi powiedział, że ta namiętność jest tak silną, tak gwałtowną... że ją nad wszystko przenosisz... nawet nad honor... byłabym ci oszczędziła wielu cierpień.. szczęściem, mogę jeszcze to uczynić...

A R M A N D.

Matko...

P. D E R M I L Y.

Ponieważ nie możesz przewyciężyć tej miłości...

A R M A N D.

Dokończ..?

P. D E R M I L Y.

Chcesz tego?..

ARMAND. (*na kolanach*)

A więc...

P. D E R M I L Y.

Niech będzie twoją żoną.

A R M A N D.

Połączyć się z Klaryssą!... chcesz tego matko?...



JÓZEF. (*Józef wszedł i słyszał ostatnie słowa*)  
Co słyszę!.. Nie to niepodobna.. Pani nie  
może zezwolić...

P. D E R M I L Y.

Tak Józefie zezwalam, pod jednym wa-  
runkiem, który powiem mojemu synowi.

A R M A N D.

Ah przystaję na wszystko co tylko zechcesz.

P. D E R M I L Y.

Podaj mi rękę i odprowadź mię do sypial-  
nego pokoju...

A R M A N D.

Ah, jesteś najlepszą z matek!.. tobie winien  
będę moje szczęście!..

P. D E R M I L Y.

Jeszcze nie teraz!.. ale później może... mam  
nadzieję...

J Ó Z E F.

Co za słabość!.. Otoż to jest psuć dzieci!..  
Mój syn Józef ożeni się z tą co ja będę chciał,  
albo musi zostać kawalerem...

(*Józef trzymając świecę stoi niewzruszony.*  
*Pani Dermily wychodzi na prawo z Arman-*  
*dem*)                    (*Zasłona spada.*)

KONIEC PIERWSZEGO AKTU.

## AKT II.

(Scena przedstawia pokój w stylu gotyckim. Dwoje drzwi bocznych; wielkie okno przy zwiach, z prawej kominek, w głębi inne drzwi, stoliki po obu stronach, na jednym leżą skrzypce, na drugim stoi klatka z ptakami, w głębi fuzja na ścianie.)

### SCENA I.

ARMAND. (przy stole na lewo, przypatrując się klatce) P. DERMILY. (siedzi po prawej i haftuje) KLARYSSA. (obok niej, czyta książkę)

A R M A N D.

Co za piękność kolorów!.. jaka zwinność!.. ani chwili na miejscu.

P. D E R M I L Y.

Już od godziny przypatrujesz się tym ptakom....

A R M A N D.

Dziwią mię bardzo, lubo zamknięte, jednak się nie nudzą.

K L A R Y S A.

Wierzę!.. zamknięte oboje; my sami nawet,

choć w tym posępny zamku... przy tobie  
jestem tak szczęśliwą...

P. D E R M I L Y.

Tego właśnie pragnęłam... Chociaż już wa-  
sze małżeństwo było ułożone; przymuszona  
jednak spóźnić je na trzy miesiące, dla roz-  
porządzeń majątkowych... dla zdania rachun-  
ków z opieki mojemu synowi.., chciałam aby-  
ście przez ten czas ani na chwilę się nie roz-  
łączyli, i dla tego was tu przywiozłam, w tę ustron  
przyjemną... gdzie daliśmy słowo nie przyj-  
mować nikogo...

K L A R Y S S A.

Słusznie... unikamy odwiedzin natrętnych...  
uprzykrzonych...

ARMAND. (*zbliżając się do Klaryssy*)

Oddani zupełnie szczęściu być razem, lo-  
tem błyskawicy ubiegło dla nas dwa mie-  
siące...

P. D E R M I L Y.

Nie... sześć tygodni...

A R M A N D.

Tak sądzisz matko?..

K L A R Y S S A.

Jest już sześć tygodni i dwa dni.

To n IX.

P D E R M I L Y.

Tak, tak...

K L A R Y S S A.

Te pokoje w stylu gotyckim mają w sobie coś wzniosłego, szlacheckiego.. okazałego...

ARMAND. (*stojąc przy kominku*)

Tak, prawda, wlecie... ale w zimie... w miesiącu Grudniu, ta okazałość jest nieco zimna... lecz wszystko niczem, kiedy jesteśmy przy boku ukochanego przedmiotu. (*stoi między Klaryssą i panią Dermily i opiera się za ich krzesłami*) Kiedy się jest między przyjaźnią i miłością... Ale, *apropos* przyjaźni.. czy też pełnomocnik twój matko, nie uczyni nam tej łaski i nie pospieszy się?.. nie kończy likwidacyi... a my czekamy...

P. D E R M I L Y.

Czy ci przykro?...

A R M A N D.

Bynajmniej!... ale jest to niecierpliwość bardzo naturalna, którą powinnaś rozumieć... Co za rozkosz być małżonkami, być u siebie, w swoim mieszkaniu przy *Chaussée de' Antin*, przesliczne obicia, kominki *à la Bronsac*... A potem tej zimy bardzo pięknie bawić się będą,

widowiska, bale, tak ulubiona zabawa dla wielu... nie dla mnie. Oh! ja nie bardzo jestem za niemi... ale Klaryssa... a dwoje prawdziwych kochanków, dwoje małżonków, stanowi tylko jedność... dla tego chcę żeby ona się bawiła, a tym samym i ja bawić się będę.

K L A R Y S S A.

Dziękuję ci... ale gdziekolwiek bądź jestem.. niczego nie pragnę...jestem przy tobie.

ARMAND. (*całując jej rękę z uniesieniem*)

Oh, droga Klarysso!.. Jakże dziś rano prze-  
pędzimy?

K L A R Y S S A.

Zabawimy się muzyką... jeżeli chcesz...

A R M A N D.

Muzyką.. nie.. wczoraj dosyć długo.. i przed wczoraj... i przed dwoma tygodniami ciągle muzyka a potem skrzypce nienastrojone, kwinta pękła...

P. D E R M I L Y.

Poszlę do miasta...

A R M A N D.

Niema potrzeby, gdybysmy lepiej przeszli się po parku...

K L A R Y S S A.

Niepodobna. Śnieg przynajmniej na sześć cali...

ARMAND. (z urazą)

Oh, te kobiety zawsze się lękają zamoczenia nóg, a więc trzeba będzie cały dzień siedzieć w tym salonie?...

KLARYSSA.

Może będziesz czytał.. albo może karty?..

ARMAND.

Troje nas tylko... gdyby był przynajmniej pleban przyszedł..bylibyśmy grali w wista lub bouilote we czworo, ale i on przyrzeka a nie przychodzi.. Ale może też i przyjdzie.. dopiero południe...

P. DERMILY.

Nie, 10 godzina.

ARMAND.

Dziesiąta.. O tej godzinie w Paryżu już zaczynają się schodzić do kawiarni Tortoniego, ręczę rozmawiają o wczorajszym przedstawieniu; wczoraj bowiem był dzień opery. Radbym wiedzieć, czy Beville ciągle zakochany w małej Mimi?..

KLARYSSA. (wstając)

Ja ci nie powiem...

ARMAND.

Bardzo wierzę. (zblizając się do okna) Patrz, Katarzyna jest w parku!

P. DERMILY. (*wstając*)

Katarzyna!..

A R M A N D.

Córka ogrodnika, z którą czasami rozmawiam.

K L A R Y S S A.

To ma znaczyć bardzo często.

A R M A N D.

Sama wiejska szczerosc, najzabawniejsza...  
Przyznała się, że już miała trzech kochanków...

K L A R Y S S A.

A fe!..

A R M A N D.

Tak jest trzech...

P. D E R M I L Y.

I jeszcze chwalić się z tego!..

A R M A N D.

Otóż różnica klimatu! W Paryżu może nie jedna i więcej ich miała, tylko że tego nie powie... (*do pani Dermily, śmiejąc się*) Między innemi wspominała mi o Piotrze; twoim leśniczym matko... głupiec!.. ah do kata! przysłała mi myśl... (*zdejmując fuzję*) Ponieważ jeszcze tak wczesnie... piękna sposobność

zapolować na wilka.... (n. s.) Katarzyna jest jeszcze w ogrodzie...

P. D E R M I L Y.

To może grozić jakiem niebezpieczeństwem.

A R M A N D.

Tém lepiej..., to zajmuje.... czas przeleci prędko...

P. D E R M I L Y.

A ja nie chcę... nie pójdiesz... nie wypada... i przed wczoraj cały dzień bawiłeś w polu, co nie bardzo było przyjemnie Klaryssie...

A R M A N D.

Pewnym że tak nie jest... (do Klaryssy) Prawda, moja droga, że się gniewać nie będziesz, jeżeli wyjdę na parę godzin...

KLARYSSA. (obojętnie)

Nie, wcale...

A R M A N D.

Widzisz matko...

P. D E R M I L Y. (zatrzymując go)

Ona nie chce powiedzieć, ale jestem przekonaną, że w sercu bardzo jej przykro... (z znaczeniem) Bo gdyby jej to nie obchodziło, nie kochałaby cię.



KLARYSSA.

Przeciwnie, dla tego że go kocham, staram się ukryć smutek, którego doznaję.

P. DERMILY.

Czy słyszysz?..

ARMAND.

Ah, to co innego... kiedy ci to przykrość sprawia... droga Klarysso, możesz być pewną że zostanę... że ci będę posłusznym, że wszystko uczynię, co ci może być przyjemnem: choćbym miał... Dla tego nie ruszę się z tego krzesła... i nie powiem ani słowa. (*siada przy stoliku na prawo*)

P. DERMILY.

Otóż w humorze nieznośnym na cały dzień.

## SCENA II.

CIŻ, JÓZEF.

JÓZEF. (*wchodząc zprawéj*)

Dzienniki i listy.

KLARYSSA. (*z radością*)

Ah co za szczęście! daj prędko!..

ARMAND. (*siedząc*)

Spodziewam się że wszystkich nie zabiorą.

KLARYSSA. (*biorąc dwa dzienniki mój*)

O nie!. dla ciebie dzienniki polityczne, a dla mnie mody.. (*siada po lewéj*)

(Józef podaje Armandowi gazety, a listy P. Dermily.)

ARMAND. (licząc)

Sześć gazet... co za rozkosz!.. będzie aż do obiadu!

KLARYSSA. (czytając)

»Suknie atlasowe wkwiaty są zawsze w modzie..« A ja mam właśnie prześliczną, a nie mogłam jej nosić... co za szkoda!

A R M A N D.

Możesz się i tu w nią ubrać...

K L A R Y S S A.

Ubierać się?.. kiedy nie ma nikogo...

A R M A N D.

Nikogo!.. bardzo przyjemnie dla nas.

P. D E R M I L Y.

Ah, oto list nie pocztą nadesłany...

J Ó Z E F.

Tak jest, jakiś posłaniec, służący w liberji jest na dole.

P. D E R M I L Y.

Od młodego Edgara.

ARMAND. (wstając)

Drugi syn Lorda Carlille? Trzeba natychmiast do niego napisać.

P. D E R M I L Y.

Nie, nie można, byłoby to nie dotrzymać naszego postanowienia, że nikogo obcego nie przyjmujemy.

A R M A N D.

Ale on wcale nie obcy, jego rodzina połączona z naszą; a potem przyjaciel z dzieciństwa mojej żony.

P. D E R M I L Y. (*patrząc na nich oboje*)  
Jeżeli chcecie koniecznie?..

K L A R Y S S A.

Nie mam nic przeciwko temu, pani rozkaż...

A R M A N D.

Odmówić przyjęcia byłoby największą nieprzyzwoitością... Prócz tego będzie to zawsze towarzystwo... nie dla nas, bo my nie potrzebujemy tego, ale dla ciebie moja matko!.. a potem obowiązki gościnności....

P. D E R M I L Y.

Jeżeli tak, napiszę do niego, że go oczekujemy z obiadem. Ale w jego liście znajduje się drugi... list przyjaźni i pamięci... do Klaryssy...

K L A R Y S S A.

Do mnie?..

P. D E R M I L Y.

Prosi mię, abym ci go oddała, jednakże po przeczytaniu, co zdaje mi się zupełnie niepotrzebném... Oto jest moje drogie dziecię.

K L A R Y S S A. *(nie biorąc listu)*

Oddaj go pani Armandowi, mojemu mężowi, on go przeczyta!..

A R M A N D.

Proszę!.. jakież ty masz o mnie wyobrażenie! kochanek czy mąż, ufność zupełna. Ale moja matko, napiszże do Barona.

K L A R Y S S A.

A ja pójdę się ubrać.

A R M A N D.

Przedziwnie! będziemy-mieli wielki obiad, wieczór, przyjęcie zupełne... Pierwszy raz nam się to wydarza... a potem Edgar jest muzykalnym...

K L A R Y S S A.

Będzie grał na fortepianie.

A R M A N D. !

A my będziemy tańcować.

K L A R Y S S A.

Bal!... Ah jakżem szczęśliwa!. *(do Armanda)* O twoim przyjacielu ja także myśleć powinnam, bądź pewny, że jako twoja narzeczona,

dołożę wszelkich starań, aby z świetnością ukazać się w jego oczach.

P. DERMILY. (*n. s.*)

Sama nadzieja zobaczenia obcego, zmienia całą postać rzeczy. (*głośno*) Idźmy Klarysso. (*wychodzą na prawo*)

### SCENA III.

ARMAND, JÓZEF.

A R M A N D.

To będzie prześliczny wieczór!.. zabawiemy się doskonale...

JÓZEF. (*n. s.*)

Z Anglikiem piękna zabawa, ale widać że się, okropnie nudzi...

A R M A N D.

Jednak dopiero południe, nie wiem, czém się zająć do obiadu. (*opierając się na Józefie*) Ah! Józefie, gdybyś chciał, byłby środek do przepędzenia czasu...

J Ó Z E F.

A jaki?.. ja znam tylko loteryjkę i warcaby, a pan pewno nie będzie...

A R M A N D.

Ukrywasz się, ale wiesz lepiej odemnie, że tu jest jakaś tajemnica.

J Ó Z E F.

Tutaj?.. nie, prawdziwie...

A R M A N D.

Jako!.. ty nie wiesz?..

J Ó Z E F.

Przysięgam panu.

A R M A N D.

A więc nie pojmuję... ale to jest zdarzenie niedocieczone, które zaostrza moją ciekawość...

J Ó Z E F.

Opowiedz mi pan.

A R M A N D.

Wyobraź sobie, że przed pięcią czy sześcią dniami, wymknąłem się z salonu...

J Ó Z E F.

Wymknąłeś się pan?..

A R M A N D.

Ale tak, moja matka nie pozwala mi ani na chwilę oddalić się od mojej narzeczonej: »Bądź zawsze przy twojej żonie...« bo moja matka, która nie lubiła dawniej Klaryssy, dziś ją bardzo kocha, i to przywiązanie codziennie się powiększa, nie wiem z jakiej przyczyny... gdy tymczasem ja...

J Ó Z E F.

Pana już nudzi?

A R M A N D.

Bynajmniej... ja nie to chcę powiedzieć... ale mię niecierpliwi, i ją także, widzę jawnie, bardzo naturalnie; dla tego też mówiłem ci żem się wymknął, i szukałem tej ładnój Katarzyny, która jest najgłupszą z dziewcząt...

J Ó Z E F.

Jakto, wieśniaczka!.. pan mógłbyś...

A R M A N D.

Ani myślę nawet o niej, o tej prawdziwie wiejskiej piękności, której białość lica czarną pokryta zasłoną; oczy małe, ale za to usta wielkie, a patrząc na jej nos groźny i spiczasty, możnaby powiedzieć, że to jest szwajcar z halabardą który strzeże jej cnoty. Dla tego też mówiąc z nią, mówię tak jak z jej ojcem.. jak z tobą.. kiedy nie mam nic do czynienia.

J. Ó Z E F.

Dziękuję panu..:

A R M A N D.

Wracając do tego co ci mówiłem, kiedy szedłem aleją parku, która prowadzi do zwierzyńca... spostrzegam na śniegu coś świecącego,

był to złoty medaljon.. miniatura kobie-  
ty.. młodej osoby.. prześlicznej, zachwycają-  
cej!

J Ó Z E F.

Piękniejszej od pańskiej przyszłej?..

A R M A N D.

Eh.. chę.. nie?

J Ó Z E F.

Czy ją pan znasz...

A R M A N D.

Nie wcale, a jednakże te rysy nie zdają mi  
się zupełnie obce, żem je gdzieś widział: ale  
gdzie? kiedy? nie wiem.. pamięć tylko przy-  
wodzi mi to wszystko w tłumie myśli.. zakry-  
te.. niepewne.. i nie zrozumieć nie mogę...

J Ó Z E F.

Ah to okropnie!..

A R M A N D.

Przeciwnie!.. to właśnie cały urok stanowi.  
Zgadujesz zapewne, że już ani pomyślałem  
o Katarzynie, wróciłem cały zajęty tą minia-  
turą... której od ośmiu dni po całych dniach  
się przypatruję, gdyż tę twarz ozdabia taki  
wdzięk, taka niewinna prostota, że zaczyna-  
łem myśleć, iż to jest wyobrażenie fantazji..



kiedy wczoraj, wczoraj wieczór wchodząc do mego pokoju, widzę światło w południowej wieży...

J Ó Z E F.

Jako, tu?..

A R M A N D.

Tak jest... wstronie zamku zupełnie niezamieszkałej, i spostrzegam blisko okna, do połowy osłoniętego lekkim muslinem, twarz anielską, jaśniejącą, tak jak malują dziewice Rafaela, i właśnie ta twarz była podobną do medaljonu, jak dwie krople wody... przez pięć minut nie mogłem jęj się napatrzeć; albowiem światło zgasło i widmo znikło.

J Ó Z E F.

Ale czy pan jesteś pewny, że byłeś przy zdrowych zmysłach?

A R M A N D.

Całą noc nie spałem, i dopóty nie zasnę, póki nie odgadnę tej tajemnicy, i nie poznam tej zachwycającej istoty.

J Ó Z E F.

A pańska przyszła?...

A R M A N D.

Moja przyszła nie przeszkadza wcale.. to nie ma żadnego związku.. wiesz dobrze, że

Klaryssa jest w istocie wielkiem szczęściem..  
szczęściem niewątpliwém... żę już je mam..  
ze to szczęście mię nie ominie, gdy tym cza-  
sem ta druga, istota ulotna, cień znikomy,  
rozumiesz.. Nakoniec mój przyjacielu musisz  
mi dopomódz, abym ją mógł zobaczyć z blis-  
ka.

J Ó Z E F.

Ale panie, ja już za stary do takiej wy-  
prawy...

A R M A N D.

Dla tego też dajesz się prosić, - gdybyś był  
w tym wieku co ja...

J Ó Z E F.

I miał narzeczoną!..

A R M A N D.

Eh, co tam.. pomówmy rozsądnie... Wsta-  
łem dziś równo ze switem, przypatrzyłem się  
dobrze tej wieżyczce, ma dwoje drzwi do wej-  
ścia.. jedne przez pokój mojej matki, a dru-  
gie... (*wskazując drzwi na lewo*) te tutaj..  
a ponieważ masz wszystkie klucze...

J Ó Z E F.

Tego nie mam, przysięgam panu; bo przed  
kilku dniami pani Dermily wzięła go odemnie,  
nie wiem na co.

A R M A N D.

Widzisz tedy, że tu jest jakaś tajemnica, która jeszcze bardziej drażni moją ciekawość... i cokolwiek bądźby mię kosztowało, będę wiedział, co to jest. Sluchaj, okno nad drzwiami, gdyby wleźć.

J Ó Z E F.

Ale za wysoko!.. ani pan... ani ja...

A R M A N D.

Widziałem niedawno u ogrodnika drabinę... pójdę sam po nią, nie chcę cię trudzić.

J Ó Z E F.

A jak pana zobaczą?..

A R M A N D.

Oto się nie boję, matka moja pisze, Klaryssa jest przy toalecie, więc nie tak łatwo oddalić ją można... Czekał mię i zostań tu na straży... (*wychodzi prędko na lewo*)

## SCENA IV.

JÓZEF. (*sam*)

Cóż za nierozsądek!.. ale wszyscy jesteśmy tacy, co nie mamy, pragnęlibyśmy mieć, a jak się już posiada, nie wiele dla nas ma powabu...

Ja naprzykład kiedy byłem dzieckiem, mówi-  
łem często do siebie.. ah kiedyż będę miał lat  
20.... teraz mam 60... i znowu mówię, czemuż  
nie mam lat 20. Ale proszę, czy można, żeby  
ciekawość tak nim powodowała... Jednak któż  
tu być może?.. Gdyby można przez dziurkę od  
klucza... (*zbliża się do drzwi na lewo*) Boże!  
drzwi się otwierają! co widzę!

## SCENA V.

JÓZEF, P. DERMILY MATYLDA. (*wchodząc  
z drzwi na lewo*)

P. D E R M I L Y.

Cicho!..

J Ó Z E F.

Jako!. czy to panienska od wczora mieszka  
w tym pokoju?..

M A T Y L D A.

Dla czegoż tak potajemnie?

P. D E R M I L Y.

To było koniecznie potrzebnem. Gdzie jest  
Armand?

J Ó Z E F.

Gotów kark skrócić dla panny, którą spo-  
strzegł z okna swojego pokoju.

M A T Y L D A.

Biedny mój kuzyn... ale moja ciociu, dla czegoż nie możemy się widzieć i pomówić z sobą tu, bez niebezpieczeństwa?

P. D E R M I L Y.

Pozwól mi działać, i na niejaki czas uwolnij mię od zapytań... Dziś będziemy mieli gości... młodego Anglika.. ty zejdziesz do sali jadalnej... i przedstawię cię w ten czas twojemu kuzynowi i baronowi, jako moją siostrzenicę.

M A T Y L D A.

Aż na obiad, cokolwiek za długo.

P. D E R M I L Y.

Pojmuję; tém bardziej, że jeszcze musisz być zamkniętą. A więc... pozwalam ci przejść się po parku...

M A T Y L D A.

Dobre i to!

P. D E R M I L Y. (*wskazując jej te drzwi, któremi Armand wyszedł*)

Te schody do niego prowadzą; a gdybyś przypadkiem spotkała twojego kuzyna, staraj się go unikać... a przynajmniej, nie powiedz mu jak się nazywasz... przyrzekasz mi?..

M A T Y L D A.

Tak moja ciociu. (*idzie kilka kroków i wraca się*) Ale gdyby odgadł?

P. D E R M I L Y.

To co innego.

M A T Y L D A.

Dobrze więc, będę posłuszną. (*wychodzi drzwiami po lewej kominka będącemi*) On pewno odgadnie...

## SCENA VI.

JÓZEF, KLARYSSA, P. DERMILY.

P. DERMILY. (*do Klaryssy, która wchodzi i pokazuje jej list*)

Co za papier trzymasz w ręku?..

K L A R Y S S A.

Przyniosłam ci pani list, który odebrałam z rąk twoich od Edgara, zawierał formalną prośbę, abym mu oddała moją rękę.

P. DERMILY. (*n. s. z radością*)

Co słyszę!

K L A R Y S S A.

Odpowiedziałam natychmiast... Ale powinnością moją było pokazać pierwój tobie moją odpowiedź, nim ją odeszłę. (*dając jej list*)  
Racz przeczytać. (*do Józefa*) Zostaw nas. (*Józef wychodzi*)

P. DERMILY. (*n. s.*)

Ah gdyby chciała przyjąć tę ofiarę. (*głośno czytając*) »Panie... czuję ten zaszczyt zostać celem twojego wyboru; ale chcąc okazać się godną tego, muszę być szczerą... Rodzina szanowna, matka zdobna we wszystkie...• (*znizając głos*) Proszę mi pozwolić opuścić to... »raczyła mię przyjąć za swoją córkę. W zamian uczuć twoich panie, mogę ci tylko ponieść wdzięczność i przyjaźń, z którymi pozostanę na zawsze twoją...

Klaryssa de Verneuil. «

(*z wzruszeniem*) Rzecz dziwna!.. i pewna jestem, że mój syn równie jak i ja będzie umiał cenić podobną ofiarę.

## SCENA VII.

KLARYSSA ARMAND, P. DERMILY.

ARMAND. (*wchodzi drzwiami w głębi, kulejąc trochę*)

Ah nie do pojęcia!.. ja głowę stracę!.. tu jest w tem czarodziejstwo...

K L A R Y S S A .

Cóż takiego?..

A R M A N D.

Byłem u ogrodnika... i kiedy brałem drabinę z jego małego składu...

P. D E R M I L Y, K L A R Y S S A.

Na co?..

A R M A N D.

Tak, żeby się rozgrzać... z jego okna wychodzącego na zwierzyniec, spotrzegam Liałą suknię... kobietę, Nimfę powietrzną, Sylfidę!... wyskakuję oknem...

P. D E R M I L Y.

O Nieba!. tak wysoko!..

A R M A N D.

'To nic... jednakże skoczywszy, noga mi się pośliznęła po śniegu... lekka boleść.. która tylko bieg mój zwolniła. Jednak pewna, że gdybym nawet biegł dwakroć spieszniej, nie byłbym doścignął tej nowej Atalanty, która swoją drobną nóżką zaledwie ślad zostawiała po białych aleach parku... Co chwila widziałem ją przy mnie, lub znikającą po za gęstwą drzew ogołoconych z liści... Jej lica ożywione utrudzeniem, jej piękne włosy wijące się w pierścienie, ta postać anielska pełna wesołości i złośliwości zwłaszcza w chwili, kiedy wpadł na ten kopiec śniegu...



P. D E R M I L Y.

Nie spostrzegłeś go?...

A R M A N D.

Nie, na nią tylko patrzałem, i nie w życiu nie widziałem bardziej zachwycającego!.. Ani Nimfa Eucharis, ani Diana w stroju myślowym nie zawróciłaby tak głowy.

K L A R Y S S A. (*urazona*)

Panie!..

A R M A N D.

Ja mówię jako o przedmiocie sztuki... jako artysta... Piękniejsza od Dafny, unikała mię, czarując za każdym krokiem. Nakoniec przy zakręcie alei... inny wypadek zmienia postać rzeczy; padam w objęcia...

P. D E R M I L Y.

Czyje?..

A R M A N D.

Młodego człowieka, ubranego czarno, był to Carlille.

K L A R Y S S A.

Edgar!.

A R M A N D.

Ściska mię, całuje... to mi wszystko jedno; nie jego pragnąłem widzieć. (*z żywością*) To jest tak.... było mi bardzo przyjemnie, zem

go mógł uściskać, widzieć znowu tę twarz zadziwioną. długą... i jego krepę na kapeluszu. Przez drogę opowiedział mi że jego brat umarł.

K L A R Y S S A.

Jego brat...

A R M A N D.

Ale tak. On został teraz Księciem i parem Angli... nie pomnę już wiele ma tysięcy funtów szterlingów... i posiada jedno z najpiękniejszych nazwisk w Brytanji... Przyznał mi się spuszczać głos i oczy, że przybył tu z zamiarami... (*do p. Dermily*) Co to ma znaczyć?.. Czy jego przyjazd miałby jakiś związek z tajemniczym ukazaniem się tej pięknej nieznajomej?..

P. DERMILY. (*z uśmiechem*)

Ah... być może, ja nie mówię, nie!..

A R M A N D.

Jako!.. ty byś wiedziała matko!..

P. DERMILY. (*wchodząc między nich i zbliżając ich do siebie*)

Tak, moje dzieci, dla was nie chcę mieć żadnych skrytości i wszystko wam powiem.

Od dawna miałam zamiar, myśl małżeństwa...  
między Lordem Carlisle, który na ten czas miał  
tylko piękne imię.. a pewną młodą osobą bar-  
dzo bogatą, którą opiekuję się...

A R M A N D.

Z tą młodą nieznajomą!

P. D E R M I L Y.

Tak właśnie!...

A R M A N D.

Ah, bardzo dobra partja!.. czy ona jest  
wolna?

P. D E R M I L Y.

Tak mój synu... Przez chwilę sądziłam, że  
moje zamiary na niczem spełzną; gdyż Milord  
przypomniawszy sobie przyjaźń dziecinnych  
lat która go łączyła z Klaryssą, chciał ją za-  
ślubić koniecznie.

ARMAND. (*z radością*)

Jako w istocie.. on chciał.. zacy Carlisle!..

P. D E R M I L Y.

Możesz się domyśleć, że Klaryssa zszlache-  
tnością odmówiła... kocha ciebie tylko... bo  
gdyby nie miłość...

ARMAND. (*smutny*)

Slusznie,.. przejęty jestem mocno jej postępkiem... tem co dla mnie uczyniła...

P. D E R M I L Y.

Teraz już nic nie sprzeciwia się wykonaniu powziętego planu, a ponieważ jest bogatym, Księciem i Parem Anglii..:

KLARYSSA. (*n. s.*)

Jakto delikatnie!..

P. D E R M I L Y.

Dziś chcę ich zbliżyć do siebie, przedstawić wzajemnie.. tu będzie pierwsze widzenie; gdyż na obiad zaprosiłam i milorda i moją wychowankę.

KLARYSSA. (*n. s.*)

Pani Dermily jest kołeta najpodstępniejsza pod słońcem.

P. DERMILY. (*uważając ich, z znaczeniem*)

A teraz, kiedy wam już o wszystkiem powiedziałam, spodziewam się, że mi dopomocie przywieść to małżeństwo do skutku...

(*Armand siada przy stole po lewej, Klaryssa po prawej*) Oboje są wzruszeni.. (*głośno*) Idę

na przyjęcie młorda, i oddam mu od ciebie list tak wspaniałomyślny.

**KLARYSSA.** (*czyniąc poruszenie aby ją zatrzymać*)

Pani...

**P. DERMILY.** (*wracając*)

Co chcesz moje dziecię?... czy masz mi co powiedzieć?... słucham.

**KLARYSSA,**

Ja... nie pani... zbyt wiele dobroci!... (*patrząc na list*) oh gdybym mogła ten list odebrać...

**ARMAND.** (*n. s.*)

Ah, żeby Carlisle chciał!...

**P. DERMILY.** (*n. s.*)

Jaka niespokojność maluje się w ich twarzach!...

**ARMAND.** (*z wzruszeniem*)

Matko! droga matko!.. oddalasz się?

(*Klaryssa siada*)

**P. DERMILY.**

Muszę przygotować wszystko na dzisiejszy wieczór.. Do widzenia!.. (*patrząc na nich, w głębi*) Jeżeli się nie mylę... oto dwoje kochanków

których bez niebezpieczeństwa sam na sam zostawić można.. (*wychodzi na prawo*)

## SCENA VIII.

KLARYSSA, ARMAND.

ARMAND. (*po chwili milczenia idąc do Klaryssy, zakłopotany*)

W istocie, droga moja Klarysso, nie wiem jak ci mam podziękować, że dla mnie poświęciłaś tak zaszczytną partję.

KLARYSSA.

Czy to cię zadziwia?...

ARMAND.

Nie, bez wątpienia.

KLARYSSA.

Pewna jestem, że i ty dla mnie...

ARMAND.

Ma się rozumieć... i ja...

KLARYSSA. (*wstając, n. s.*)

Ah ten list, ona mu go zapewne odda; ten list przywiedzie go do rozpacz, może oddali z tych miejsc!...

ARMAND.

Bo nakoniec w zamian tytułów i godności które dla mnie porzucasz, mogę ci tylko ofiarować imię i skromny majątek bankiera; dla

tego honor nawet obowiązuje mię wywdzięczyć się za taka wspaniałość...

KLARYSSA (*zimno*)

Może niewdzięcznością. Przed chwilą bowiem, już mówiłeś o młodej dziewczynie z takim zapalem... zupełnie nieprzyzwoitym wobec twojej matki i mnie.

A R M A N D.

Eh, niewinny żarcik,... bez najmniejszej myśli...

KLARYSSA (*z urazą*)

Żarcik, niewinny żarcik,... dla którego z okien skaczesz i przebiegasz park, ścigając nieznaną kobietę; ale dla ciebie nie nie znaczy kto ona jest, dosyć że kobieta!.. Mężczyźni tak mało dbają na delikatność, na przyzwoitość... Albo kilka dni temu czyliż nie widziałam cię, jakieś się śmiał i żartował z córką ogrodnika?..

A R M A N D.

Z Katarzyną!

K L A R Y S S A.

Wstydz się pan!.. bardzo nie pięknie...

wcale nie w dobrym tonie... prawdziwie tylko bankier...

A R M A N D.

Klarysso!..

K L A R Y S S A.

Tak mości panie... a ponieważ aż do tej chwili miałam dosyć siły milczeć, czy myślisz, że będę niewidomą, lub obojętną na wszystko co razi moje oczy?

A R M A N D.

Ale cóż je może razić?..

K L A R Y S S A.

Wszystko co mię otacza!.. czyż tak trudno dostrzedz, że pomimo pozornej przyjaźni, twoja matka mię nie kocha, że tylko z łaski, nazywa mię swoją córką, i że dla zadosyć uczynienia swoim urojeniom, każe nam umierać ze smutku i nudów w tym samotnym zamku?

A R M A N D.

Proszę ani słowa więcej o mojej matce... nie mógłbym słuchać...

K L A R Y S S A.

Przedziwnie!.. Widzisz tedy że już samo, jej imię zarzuca niezgodę i niepokój; tak zostać nie może... wybierzesz między nami dwiema, wyrzekniesz się albo jej albo mnie.



A R M A N D.

Jako!. i ty mówisz że mię kochasz... ty, która żadasz podobnej ofiary?

K L A R Y S S A.

Jako, mógłżebyś się jeszcze wahać po tytu dowodach przywiązania i poświęcenia z mojej strony?.. Kiedy dla ciebie odrzucam znaczenie, tytuł... godności!..

A R M A N D.

Bądź baczna Klarysso!.. jeżeli raz jeszcze wymówisz mi twoją wspaniałomyślność, przestanę ci być wdzięcznym za nią.

K L A R Y S S A.

A więc słusznie mówiłam, że niewdzięczność...

A R M A N D.

Nie wiem na czyjej jest stronie.

K L A R Y S S A.

Ah! już nadto... i doznawszy podobnej obrazy, trzeba być zupełnie dumy pozbawioną...

A R M A N D.

Klarysso posłuchaj mię... /

K L A R Y S S A.

Nie nie... puść mię... zabraniam ci iść za mną, mówiliśmy ze sobą już po raz ostatni!  
*(wychodzi drzwiami na prawo)*

## S C E N A IX.

ARMAND. (*sam*)

Zresztą jak będzie chciała!.. w jednym dniu druga sprzeczka, to mię już nudzi!.. Wiem że mię kocha... wiem o t<sup>o</sup>m aż nadto... ale to nie jest dowód, żeby o lada fraszkę szukać zemną kłótni; mówić źle o mojej matce, aby okazywać się dumną, wyniosłą, gniewliwą, zazdrosną... Przyt<sup>o</sup>m dobra osoba, któraby miała przedziwny sposób myślenia, gdyby mię tyle nie kochała!. Dla tego też trzeba już zakończyć, trzeba żeby ten związek już raz został zawarty... połączeni, będziemy mieli wszelką wolność... ona czynić będzie co jej się podoba, ja toż samo, i nikt nas nie przymusi siedzieć po całych dniach sam na sam, co właśnie jest powodem do nieustannych poróżnień. (*słychać przegrywkę na fortepianie w pokoju po lewej*) Boże!.. Co słyszę!.. w tym pokoju.. (*otwiera z lekka drzwi i patrzy*) To młoda nieznajoma!.. widzę ją... siedzi przy pantaljonie... Co za postać!.. i podobny skarb był przeznaczony dla Anglika... Ach gdybym

przed ich połączeniem, mógł ją porwać, gdy-  
bym mógł pozyskać jej miłość... (*chcąc wejść*)  
Idźmy... cóż to jest, wstaje... (*zamyka drzwi,*  
*patrzy przez otwór od klucza*) tu idzie... ah  
jakżem szczęśliwy!

## SCENA X.

MATYLDA, ARMAND.

ARMAND. (*n. s.*)

To ona!.. (*zbliża się z lekka z tyłu, i chwy-  
ta ją za rękę*) Już teraz trzymam, i nie wym-  
knie się.

MATYLDA. (*n. s. z uśmiechem*)

Mój kuzyn!

ARMAND. (*n. s.*)

Dziwna!.. to jej nie przestrasza!.. (*głośno*)  
Zbyteczna śmiałość, w ten sposób zatrzymy-  
wać cię pani, ale nie uciekaj odemnie jak  
tego rana... (*puszczając jej rękę*) a powra-  
cam ci wolność... na słowo... (*na stronie*)  
milczy... ale nie ucieka!.. (*głośno*) Jeszcze pro-  
szę o jedną łaskę: czy nie mogę wiedzieć kto  
jesteś?..

MATYLDA. (n. s.)

Smiesznie, on mię do prawdy nie zna.

A R M A N D.

Nie otrzymam odpowiedzi?

M A T Y L D A.

A jeżeli mi zabroniono, jeżeli mi nie wolno  
powiedzieć kto jestem...

A R M A N D.

O Nieba!..

M A T Y L D A.

- Ale pan możesz odgadnąć!.. ja panu nie  
zabraniam...

A R M A N D.

Wiem tylko, że jesteś najpiękniejszą. czaru  
jącą, i że cię ubóstwiam prawie.

M A T Y L D A.

Niepodobna!.. nie znasz mię pan?

A R M A N D.

Mylisz się pani... (dobywa medaljon) A to  
wyobrażenie, które bezustannie mam przed  
mojemi oczyma.

M A T Y L D A.

Moja miniatura!.. którą wymalowałam dla  
twojej matki...

A R M A N D.

Przypadkiem dostała się w moje ręce i od  
tej chwili już mię nie opuściła! Nosilem ją

przy mojem sercu, i nie znając cię już kochałem...

MATYLDA. (*n. s.*)

Kocha mię!.. (*głośno*) Ah, niech moja ciotka mówi co chce... już nie mam sił być jej posłuszną.

A R M A N D.

Ciotka mówisz!.. któż jest ciotką?

M A T Y L D A.

Twoja matka panie Armandzie.

A R M A N D.

Jako!.. byłabyś ty Matyldą?

MATYLDA. (*z radością*)

Tak, tak... odgadł... odgadł moje nazwisko.

A R M A N D.

Moją kuzynką?..

MATYLDA. (*prędko*))

Ja mu tego nie powiedziałam.

A R M A N D.

Co ten anioł dobroci!.. ten skarb, którego zazdrościłem, to Matylda... to moja kuzynka.

M A T Y L D A.

Która cię znała od dawna, ja zręczniejsza jestem od ciebie!..

ARMAND.

I dla czegoż nas rozłączać?.. na cóż tajemnica?

MATYLDA.

Nie wiem tego... mój ojciec bowiem zawsze mi mówił: „Twój kuzyn będzie kiedyś twoim mężem, to jest nadzieja naszych dwóch rodzin.”

ARMAND. *(z radością)*

Czy podobna?!. A mogę się spodziewać Matyldo, że życzenia ojca zgodzą się z twojemi uczuciami?

MATYLDA.

Nie wiem, ja tylko myślę to samo co i mój ojciec...

ARMAND.

Jakto?..

MATYLDA.

I to co moja ciotka.

ARMAND.

Ah mojemu szczęściu nie nie wyrówna!..

MATYLDA.

A co w:ym jest zadziwiającego, to to, że moja ciotka wyraźnie mi zaleciła unikać ciebie, dla tego rano tak uciekałam, bo gdyby nie ten zakaz!... A potem wzbronila mi

za spotkaniem się z tobą, powiedziec ci moje nazwisko; szczęściem odgadłeś je... Ale powiedz mi, czy pojmujesz co z tego postępowania?..

A R M A N D.

Wszystko się teraz wyjaśnia; moja matka zmieniła zamiar, chce cię połączyć z innym... z Anglikiem, Lordem Carlisle.

M A T Y L D A.

A ja nie chcę żadnego Lorda, nie chcę być Lordową. Powiem mojemu ojcu, ciotce i wszystkim... Oho!.. niech się nie zdaje, że ja nie mam wrodzonej stałości... a potem ty jesteś moim krewnym, kuzynem, będziesz mię bronić..

A R M A N D.

Zawsze, zawsze bronić cię będę!.. To jest niegodziwie... to jest nieludzkość!..

M A T Y L D A.

Nieprawdaż!..

A R M A N D.

Okropnie tak przymuszać młodą osobę, nie ścierpię tego!.. i tego narzeczonego... tego Anglika prędkiej zabiję!...

M A T Y L D A.

O nie... nie zabijaj go mój kuzynie!

A R M A N D.

No, jak chcesz Matylde.

M A T Y L D A.

Blagam cię... powiedz mu tylko: że ja ciebie kocham, że cię zawsze kochałam, że nie mogę być jego żoną, ponieważ muszę twoją zostać.... on to zrozumie... Do widzenia mój kuzynku, a pamiętaj nie zabijaj go. (*odchodzi*)

## SCENA XI.

ARMAND, potem P. DERMILY.

A R M A N D.

Co za wdzięk!.. szczerść!.. prostota!.. otóż to takiej żony mi potrzeba było... a oni ją przeznaczają innemu... Chcą z nas obojga uczynić ofiary... gdyż i mię zaręczono z Kларыссą... zaręczono z kobietą, którą niepodobna mi kochać..... a szczególnie teraz... Jakże jej się pozbyć?.. jak zerwać przyrzeczenie nie narażając się na wieczne wyrzuty, na okrycie się hańbą na zawsze? (*do p. Dermily*) Ah matko... przez litość, przybywaj mi na pomoc!



P. D E R M I L Y.

Dla Boga!.. cóż ci jest?..

ARMAND. (*starając się przyjąć do siebie*)

Nic, nic... Cóż powiem... Chciałem zapytać się ciebie matko... co czyni Klaryssa... gdzie jest?..

P. D E R M I L Y.

W salonie z Lordem Carlisle, chciałam mu oddać list... ale osądziłam i Klaryssa natychmiast zgodziła się zemną, że daleko przyzwolniej będzie żeby mu sama wyjaśniła powody odmówienia.... Rozdarłam więc list i zostawiłam ich razem, ale jeżeli chcesz pójdę po nią.

A R M A N D.

Nic, moja matko, nie... mam ci jeszcze coś powiedzieć... widziałem Matyldę.. moją kuzynkę..

P. D E R M I L Y.

Jako, miałabyś wiedzieć?..

A R M A N D.

Wiem wszystko... i o niej tylko chcę z tobą mówić... bo ja.. już skończyłem... nie trzeba już myśleć... przyrzekłem... i przez samą delikatność, przez sam honor cofnąć się już

nie podobna.. A więc, ponieważ nic mię o-  
calić nie może, ponieważ chcesz tego, zawrę  
związek, którym się brzydzę, który nienawiść  
tylko we mnie budzi...

P. D E R M I L Y.

Co mówisz?..

A R M A N D.

Ale uprzedzam cię matko, że będę cierpieł  
wiecznie, nikt o tém wiedzieć nie będzie... na-  
wet ona sama... postępować będę jako czło-  
wiek uczciwy, uprzejmy... jak dobry mąż; ale  
kochać będę inną.. od tego nikt mię nie  
wstrzyma...

P. D E R M I L Y.

I kogóż?

A R M A N D.

Moją kuzynkę.

P. D E R M I L Y.

Czy podobna!

A R M A N D.

Kocham ją, i kochać będę wiecznie.

P. D E R M I L Y.

Wiecznie!.. czy pamiętasz?..

A R M A N D.

Oh tym razem już stanowczo... gdyż pię-  
kność w Matyldzie jest najmniejszą z jej za-  
let...

P. D E R M I Ł Y.

Wiem o tem... dawniej przeznaczalam ci ją sama... nie chciales... nawet nie pozwoliles przedstawic ją...

A R M A N D.

Trzeba bylo mnie przymusic... uzyć twojej władzy matko... mialas prawo rozkazac... a podobna slabosc!..... Ah przebacz!.. przebacz... nie wiem co mówię... obrazam cię jeszcze... tracę zmysły... jedyny środek życie sobie odebrać.

## SCENA XII.

P. D E R M I Ł Y, M A T Y Ł D A, A R M A N D.

M A T Y Ł D A.

Boże!. co słyszę... nie, nie, mój kuzynie, nie opuścisz nas.

A R M A N D.

Muszę; kocham cię zbyt wiele, a jestem tak nieszczęśliwy.

M A T Y Ł D A. (*do p. Dermily*)

Nie wzrusza cię jego rozpacz... możesz mu się jeszcze opierać?.. a więc!.. ja, która aż dotąd byłam posłuszną najmniejszym twoim chęciom, oświadczam teraz: że napróżno staranoby się przeszkodzić, abym nie kochala

ε\*

mojego kuzyna... żem go zawsze kochała... i że go zawsze kochać będę.

P. D E R M I L Y.

I ty także!.. (n. s.) Biedne dzieci!

MATYLDA. (płacząc)

Tak Armandzie, okrutnie się z nami obchodzają.. chcą nas uczynić bardzo nieszczęśliwymi, ale bądź spokojny, ja nie pójdę za nikogo.. zostanę panną.. i ty zostań kawalerem..

A R M A N D.

Kawalerem?.. tak.. nie ożenię się!

M A T Y L D A.

Ja umrę panną.. albo twoją żoną..

ARMAND. (z rozpaczą)

Moją żoną!.. ah, to za wiele!

M A T Y L D A.

No i cóż.. czy to cię nie pociesza, cokolwiek kuzynku?..

A R M A N D.

Przeciwnie!.. do rozpaczki mię przywodzi, gdyż teraz nie wiem na kogo gniew mój wyrzucić. (do p. Dermily, Matylda oddala się w głąb) Matko!. droga matko.. ty której tyle winienem... w tobie jedyna moja nadzieja!. ona nie wie.. nie może domyśleć się ile cierpię...

ty tylko możesz mię ocalić.. a jeżeli nie wynajdziesz jakiego chlubnego sposobu zerwania tego nienawistnego przyrzeczenia.. nie masz już syna!..

P. D E R M I L Y.

Niewdzięczny!.. możeszli sądzić, że twoja matka przestała choć na chwilkę czuwać nad tobą?.. dzięki mojemu planowi.. dziś może..

A R M A N D.

Co mówisz?..

P. D E R M I L Y.

Milczenie! (*wskazując Matyldę która się zbliża*) Twoja żona nic wiedzieć nie powinna.

### SCENA XIII. I OSTATNIA.

MATYLDA, JÓZEF, P. DERMILY, ARMAND.

J Ó Z E F.

Ah, co za nieszczęście!. Co za wstyd dla nas!

P. D E R M I L Y.

Cóż tam?..

A R M A N D.

Cóżeś widział?..

J Ó Z E F.

W salonie widziałem Milorda Carlisle u nóg panny Klaryssy.

P. D E R M I L Y.

I coż!...

J Ó Z E F.

Powstał, rzucił mi się na szyję, mówiąc...  
Przedstawiam ci moją żonę!..

ARMAND. (*skacząc do szyi Józefa i ścis-  
skając go*)

Ah, mój przyjacielu!. ah mój drogi Józefie!

J Ó Z E F.

Panie.. przez litość!. ledwo się tamtemu wyr-  
łem!. (*przechodzi na lewo p. Dermily*)

ARMAND, (*do p. Dermily*)

Jakże się to stało?.. jakżeś mogła tego do-  
kazać matko?..

P. D E R M I L Y.

Dostrzegłam, że Klaryssa kochała Lorda  
Carlisle..

ARMAND. (*osłupiały*)

Niepodobna...

P. D E R M I L Y.

Tak mój synu.. kocha go.. kochać go będzie  
wiecznie!.. Wiecznie! czy rozumiesz to dobrze?

ARMAND. (*zdziwiony*)

Ah!..

P. D E R M I L Y.

Zapewniłam ją o mojem zezwoleniu.. two-  
jem.. zostanie teraz żoną Lorda.

M A T Y L D A.

Ah, co za szczęście!. Lord Carlisle już się ze mną nie ożeni.. i mimo twojej woli ciotko, trzeba będzie koniecznie abym została żoną mojego kuzyna..

P. D E R M I L Y.

Tak moje dziecię.. zostaniesz nią..

MATYLDA. (*do Armanda*)

Ah, przecież dowiedzieliśmy swego, ale nie bez trudów.. nim ciotkę przywiedliśmy do tego.

A R M A N D.

Co mówisz?.. gdybyś wiedziała..

P. DERMILY. (*do Armanda*)

Ani słowa więcej!.. (*wchodząc między Matyldę i Armanda, do Matyldy*) Pomścij się za mnie.. i uczyn go szczęśliwym. (*do Armanda*) A ty pamiętaj: że ten wyraz wiecznie, bywa często używany w pierwszym szale młodości, ale tylko matka szczerze przywiązana do swoich dzieci może bez obawy błędu powiedzieć.. będziecie się kochali: Wiecznie! (*łączy. ich*)

K O N I E C.

---





**NOWY SAD**  
**PARYSA**  
CZYLI  
**ICEK SĘDZIA.**

**KROTOCHWIŁA W JEDNYM AKCIE**  
**Z E S P I E W K A M I**

*Tłumaczona z niemieckiego*

**p. Angeln.**



**PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ**  
**NA TEATRZE ROZMAITOSCI**

*dnia 5 Listopada 1838 roku.*

## O S O B Y.

WACKER, zarządca dóbr nie- obecnego szwagra	JP. <i>Smiałkowski.</i>
KASIA )	JPi. <i>Niedzielska.</i>
MAGDUSIA ) jego córki.	JPa. <i>Złotoszewska.</i>
RÓZIA )	JPa. <i>Radzyńska.</i>
PIOTR BOCK ) kochanko-	JP. <i>Swiergocki.</i>
HANS SCHWALBE) wie trzech	JP. <i>Gizewski.</i>
WILCHELM LIPS) córek pana	JP. <i>Skomorowski.</i>
) WACKER'	
Pisarz	JP. <i>Oliwiński.</i>
LEBRECHT, gajowy	JP. <i>Szymanowski.</i>
MOJSIE ICEK, żyd handlujący	JP. <i>Panezykowski.</i>
MICHAŁ, wieśniak	JP. <i>Wroblewski.</i>
Wiesniacy i wieśniaczki.	

(Rzecz dzieje się w Pomeranji.)

---

---

# NOWY SĄD PARYSA.

---

*Scena przedstawia wioskę, po prawej dom  
dzierzawcy Wacker, po lewej nizki gruby  
krzew)*

## SCENA I.

WILHELM.

Otóż znowu stoję przed tym miłym domem  
gdzie mieszka moja słodka Rózia! ah gdyby  
ona teraz tylko odgadnąć mogła, że jej biedny  
Wilhelm na nią oczekuje, że z takim  
upragnieniem mówić z nią pragnie. Zaśpiewam  
jej ulubioną piosneczkę, może mój głos u-  
słyszy.

*Tom IX.*

9

ŚPIEW NRO 1.

Ah Róziu, posłuchaj mię luba: (\*)

Ty spisz? jak można spać?

Oh pomnij, to niezwrotna zguba,

Miłosnych chwil nie trać.

Cierpienia ukoj przybycie,

Już boleść skończyć czas;

Powtórzę: kocham cię nad życie

Ostatni może raz!

SCENA II.

WILHELM, RÓZIA. (*wyszedłszy z domu, z cicha zbliża się do niego, staje za nim i lekko uderza go po ramieniu*)

R Ó Z I A.

Dzień dobry Wilhelmic!

WILHELM. (*obraca się radośny*)

Rózia! moja kochana, złota Rózia! to ty?

R Ó Z I A.

A naturalnie że ja. Jak tylko śpiewkę usłyszałam, natychmiast zbiegłam do ciebie.

---

(\*) *Wszystkie śpiewki pisane pod muzykę*

W I L H E L M

Ah! moja kochana Róziu! słuchaj, mam ci coś powiedzieć, ja.. idę do żołnierzy!

RÓZIA. (*przełęta*)

J! Wilusiu, ty nie pójdziesz!

W I L H E L M.

Czegóż mam tu dłużej czekać? aby umrzeć ze zgryzoty? Wczoraj stary gajowy opowiadał wójtowi, że twój ojciec przyrzekł mu solennie twoją rękę, i że ty musisz w osmiu dniach zostać jego żoną! Nie bierz mi tego za złe, ale to jest bardzo okrutnie ze strony twojego ojca. chceć oddać cię takiemu szkaradnemu człowiekowi.

R Ó Z I A.

Ale mój Boże, to wszystko jeszcze niepewno. Mój ojciec jest dobry człowiek. Baczny gajowy, pewnego razu odkrył bandę złodziei którzy chcieli napaść na dom, a ojciec w pierwszym uniesieniu wdzięczności obiecał mu dać co tylko zażąda. On zapragnął mojej ręki, i myśli ojca za słowo przytrzymać. Jeżeli ja będę musiała zaślubić gajowego, to będzie twoja wina.

W I L H E L M.

Moja? ah mój miły Boże!

R Ó Z I A.

Ale tak, nieinaczej, przecież Piotr Bock i Hans, oddawna już prosili o moje siostry, dla czegoż ty nie pomówisz z moim ojcem?

W I L H E L M.

Dla czego? Piotr i Hans, są to wieśniacy dobrze się mający; ale ja, biedny chudopacholek nie mam nic, mały kawałek ziemi, małą chałupę, w której mój chory ojciec za ledwo pomieścić się może, gdzieżbym ja ciebie ulokował?

R Ó Z I A.

— Eh, już ja sobie miejsce znajdę, my sobie damy radę.

W I L H E L M.

Tak, my, ale twój ojciec na to nie zezwoli; on, taki bogaty człowiek!

R Ó Z I A.

To też właśnie dla tego że bogaty, nie pozwoli i nam cierpieć niedostatku.

W I L H E L M.

Tak, mam więc żyć jego kosztem? i mam mu jeszcze to powiedzieć? Nie, do tego nie mam potrzebnej śmiałości.

R Ó Z I A.

Doprawdy? dla czego mię więc kochasz?

W I L H E L M.

Dla czego? to właśnie jest nieszczęście! Dla czego dobry Bóg utworzył bogate dziewczęta tak piękne, że biedny człowiek musi dla nich stracić głowę.

R Ó Z I A.

Bogate, bogate! ty zawsze mówisz o bogactwie. Mój ojciec wcale nie jest bogaty! Wszystko co ma jest własnością jego szwagra, naszego stryja, który zawsze po morzach się tuła.

W I L H E L M.

Bo sobie takie obrał rzemiosło; my się trudniemy ziemią a on wodą; jest podobno korsarzem.

R Ó Z I A.

Widać że więcej zyskuje na swoim rzemiosle! Jak powrócił z pierwszej swojej podróży, przywiózł ze sobą 10,000 talarów, za to kupił sobie tutaj tę wioskę, i mojego ojca rządcą jej zostawił.

W I L H E L M.

Słuchaj. I ja pójdę na morze, zostanę korsarzem...

R Ó Z I A.

Eh, mój Wilusiu, pomięszały ci się klepki w głowie! Oto lepiej ośmiel się i pomów z moim ojcem.—Ale teraz odejdz, słyszę moje siostry. Bywaj zdrów, ty zajęcze serce.

W I L H E L M.

Nie rozumiem tego, jak możesz być jeszcze tak wesołą! Mnie mało serce z ciała nie wyskoczy.

R Ó Z I A.

Eh co tam, ty powinieneś skakać, nie twoje serce. Bądź zdrów i dobrej myśli, jednookiemu gajowemu, jeżeli mię koniecznie zechce mieć za żonę, i drugie oko wydrapię.

W I L H E L M.

Ah to on będzie zupełnie ślepy i...

R Ó Z I A.

Czy odejdiesz ty?

W I L H E L M.

Już idę; bądź zdrowa luba Róziu, bądź zdrowa! Ah mój Boże! przeczuwam że ja w końcu zawsze będę musiał zostać korsarzem. (*odbiega*)



R Ó Z I A.

Pocziwy chłopiec ten Wilhelm, ale jeszcze trochę głupi! już ja go na rozumnego przerobię!  
(*w) biega do ogrodu*)

SCENA III.

KASIA, MAGDUSIA. (*wychodzą z domu*) PIOTR  
i HANS. (*nieco później, z głębi*)

K A S I A.

Gdzież Piotr bawi tak długo? Powinien był wcześniej przyjść.

M A G D U S I A.

I Hans także! Mieli dziś mówić z ojcem (*spos-  
strzegają ich z daleka*)

PIOTR. (*śpiewając za sceną*) Nro 2.  
Raz syn jednego chłopca był,  
Tridel didel dum!

KASIA. (*mówi*)  
Słyszysz! to mój Piotr!

HANS. (*śpiewa za sceną*)  
Kochał Magdusię co miał sił.  
Didel didel dum.

MAGDUSIA. (*mówi*)

Oh! i mój Hans!

PIOTR i HANS. (*razem*)

Tralla la la, didel la la la.

KASIA. (*mówi*)

Słuchaj, ukryjmy się, i pozartujmy z nich trochę.

M A G D U S I A.

Dobrze, skryjmy się za drzewo czempredziej. (*kryją się za krzakiem*)

#### SCENA IV.

PIOTR, HANS, KASIA, MAGDUSIA. (*ukryte*)

PIOTR. (*śpiewa zupełnie w głębi*)

I raz on przyszedł przeddrzwi.

Tridel didel dum.

HANS. (*podobnież*)

I rzekł ah, daj buziaczka mi..

Tridel didel dum.

PIOTR I HANS. (*razem*)

Tralla la la!

PIOTR. (*ogłada się do koła i staje nie poruszony z otwartemi ustami*)

HANS. (*zatrzymując go*)

La la! Cóż to czy ja kuroślepiu dostałem?  
Przecież przed chwilą widziałem tu Magdusię.

PIOTR. (*przeciera sobie oczy*)

Tak jest, i Kasia także tu była. A teraz ani żywej duszy.

H A N S.

Ho, ho, zapewne ukryły się i chcą z nas zażartować.

P I O T R.

Dobrze mówisz, zgadłeś. Kasia jest tak żartobliwa, jak mała.

H A N S.

Wiesz co Piotrze, poszukaj ty dziewcząt, bo ja okropnie zmordowany. (*siada na ławce*)

P I O T R.

Tak, żebym ja tylko wiedział gdzie one są.

H A N S.\*

Szukaj, to się dowiesz.

PIOTR. (*szuka*)

H A N S.

Teraz one cokolwiek nas za nos wodzą, ale poczekajcie po ślubie, oddamy im wet za wet. Oh, żebyśmy już capnęli talarki teścia! (*do Piotra*) A co masz?

P I O T R.

Co talarki?

H A N S.

Nie, dziewczęta.

P I O T R.

Jeszcze nie. *(szuka wciąż)*

H A N S.

Sliczna dziewczyna z mojej Magdusi, to każdy mi przyzna! Jej postać, wdzięki..

P I O T R.

Nikt ich nie znajdzie.

H A N S.

Ah, ty jesteś ślepy ogar! Poczekaj, ja ci pomogę. Ty idź tamtędy do koła, a ja tędy. *(idą za krzak i znajdują obie dziewczęta)*

H A N S.

Aha! *(wyprowadza Magdusię)*

P I O T R.

Ehe! mam cię! *(wyprowadza Kasię)*

K A S I A.

Ha, ha, aleście długo szukać musieli.

M A G D U S I A.

A szczególnie ten głupi Piotr.

P I O T R.

No, no, nie tak bardzo grzecznie, bo ja zawsze będę chciał tego. Wreszcie spodziewam

się moja lubciu, że po ślubie nie będziemy się bawić w schowanego.

K A S I A.

Oli, ty przemierzła tyczko grochowa! Zawszę tylko gderasz.

P I O T R.

Czy niemam przyczyny? Wy myślicie tylko o głupstwach, a ja o ważnych rzeczach.

K A S I A.

Ha, ha, ty myślisz o ważnych rzeczach?

P I O T R.

Ej do kroćset, toć poczekajcie pierwěj. Temu nikt nie zaprzeczy, że my czworo jesteśmy w sobie strasliwym sposobem zakochani.

I N N I.

No, to prawda.

P I O T R.

Że już oddawnego czasu, wyznaliśmy sobie naszą miłość, to także prawda.

I N N I.

No, to także prawda.

P I O T R.

Że teraz musimy ojca Wacker opanować, i natychmiast z nim pogadać, bo już dłużej nie wytrzymam.

H A N S.

I ja nie!

K A S I A.

I ja nie!

M A G D U S I A.

I ja nie!

P I O T R.

Ja z ogromnej miłości już jeść... mało nie  
mogę.

H A N S.

A ja pić.

K A S I A.

Mnie serce bije przez cały dzień.

M A G D U S I A.

A mnie przez całą noc.

P I O T R.

Dotknij się tylko mojego!

H A N S.

I mojego!

*Czworo śpiew* Nro 3.

Tike take tak, tike take tak!

MAGDUSIA, KASIA.

Z najgorętszych uczuć serduszek dziewczynie,

Tak potężnie bije, jakby w wietrznym młynie.

Sama niewiem jak to zwać,

Ze drzemię jedynie,

Wprzód całą noc mogłam jak owca spać.

MAGDUSIA, KASIA.

Wprzód się kółko moje z żywością kręciło,  
A teraz się nitka co chwila to rwie.

PIOTR i HANS.

Przy robocie dawniej mi się nie nudziło,  
A dzisiaj mię każdy już leniuchem zwie.

K A S I A,

Jakto miłość może odmienić dziewczynę.

PIOTR i HANS.

Ja mógłbym dzień cały próżnować, niech  
zginę!

H A N S.

Imężczyzn odmienia ten szatański gość;

P I O T R.

Ja zboża nie zbieram, na pniu daję rość.

PIOTR, i HANS.

Tike take tak, tike take tak.

MAGDUSIA, HANS.

To miłości znak! to miłości znak!

## SCENA V.

POPZEDZAJĄCY, WACKER. (*wychodząc  
z domu*)

W A C K E R.

Cieszmy się życiem, póki iskra świeci,

Pieśmy się z rózą, póki kwiat nie zleci. —

Ha, dzień dobry moje dzieci!

H A N S.

He, he, nasz kochany sąsiad zawsze wesoły.

W A C K E R.

Tak mój Hans, i spodziewam się być takim aż do ostatniej chwili mojego życia. Bierzcie przykład ze mnie.

ŚPIEW NRO 4.

Dobra myśl, wesoły śpiew,  
Skromna chęć, nieznany gniew,  
Ośladzają nasz byt;  
Gdy w kielichu wina zdroj,  
W nim jest zdrowie, żywioł mój,  
Mając go jam szczęścia syt.

Wsparcie nieść, każdemu śmiem,  
Kiedy mogę, kiedy wiem,  
Zazdrości ja nie znam nie.

A więc śmierć mój miły kmotr,  
Której się obawia łotr,  
Może śmiało przybyć gdy chce.

KASIA. (*popycha Piotra*)

No, Piotrze, teraz, otwórzże przecię gębę!  
teraz właśnie ojciec jest w najlepszym humorze.



P I O T R.

Sąsiedzie, posłuchajcie mię, my, my. oto tu... my, wszysey czworo jak stojemy... a ponieważ muszę powiedzieć, ponieważ między nami ja jestem najrozumniejszy.... otóż....

H A N S.

No, no...

P I O T R.

Powiem ci po prostu panie sąsiedzie, co mamy na sercach.

W A C K E R.

Aha! już wiem czego chcecie. Moje dzieci, aż do dziś odwlekałem wasz związek, ponieważ moje córki tak istotnie mówiąc, nie posiadają żadnego majątku, wszystkie one zależą od swojego stryja. Wiecie że on jest dzielnym, odważnym marynarzem, który...

H A N S.

Który teraz może siedzi na jakiej pustej wyspie, napęlnionej dzikim zwierzem.

W A C K E R.

Codzień oczekuję od niego wiadomości, ponieważ tak dawno żadnej nie miałem.

P I O T R.

Moja rada nie czekać na stryja, ja biorę

na siebie to wszystko bez niego jak najlepiej uskutecznić. A prócz tego wiem dobrze co to jest być na morzu. Kiedy okręt gdzie sobie uderzy o jaką skałę i pójdzie do dna, oho, to się nie można ztamtąd wydostać na sucho. Do tysiąc furji, ten rosół trzeba długo pić, nim się go do dna wypije.

H A N S.

He, he! śliczny mi rosół! to wasser-zupa nie rosół.

W A C K E R.

A więc dobrze moje dzieci, ponieważ kochacie się, ponieważ stałe postanowiliście pożenić się, nie widzę powodu, ażebym dłużej miał zwlekać wasze szczęście; przyrzekam wam jutro.. (*patrząc w kulisę*) Ale, patrzcie no, oto idzie gajowy, a za nim przynajmniej połowa wsi! Czego oni tu chcą? co to ma znaczyć.

## SCENA VI.

POPZEDZAJĄCY, GAJOWY. (*stary, brzydki, jednooki*) WIESNIACY, WIEŚNIACZKI, RÓZIA. (*wychodząc z ogrodu*) MICHAŁ. (*między wieśniakami*) WILHELM.

GAJOWY. *(do cisnących się wieśniaków)*

No, no! nie cisnijcie się jak owce jedna za drugą, nie zapominajcie powinnego uszanowania! Cicho! dzień dobry, witam panie rządcę!

W A C K E R.

Dzień dobry, dzień dobry panie Gajowy! co ukata znaczy to zbiegowisko.

GAJOWY. *(dobywa wielki list z czarną pieczęcią)*

Czy widzicie ten potężny list! Kurjer przywiózł go do pałacu, a nasz łaskawy pan przysłał ten list do mnie, przynoszę go wam, ponieważ adres jest do rządcy dóbr: Kacpra Wacker!..

W A C K E R.

Do mnie?

G A J O W Y.

Gruby pakiet, musi w nim być coś dobrego. może tam jest pełno ważnych wexli.

W A C K E R.

Ho, h, to by mię wielce ucieszyło.

G A J O W Y.

No, ktoś może wszystko wiedzieć. Otwórz!

WACKER. *(łamie pieczęć)*

Ah! do sto szatanów, czarna pieczęć!

G A J O W Y.

Czarna pieczęć! Już niema wątpliwości! to jakieś dziedzictwo.

M I C H A Ł.

Eh, jeszcze w życiu niewidziałem żadnego dziedzictwa z czarną pieczęcią. (*ciśnie się naprzód, z nim wieśniacy*)

G A J O W Y. (*do Michała, który go popchnął*)

No, czego potrącasz mię osłe?

M I C H A Ł.

Jeden popycha drugiego, coż ja temu winienem panie gajowy?

W A C K E R. (*szuka po kieszeniach*)

Gdzie u kata podziały się; nie mam przy sobie okularów. Hans, ty przeczytaj!

H A N S.

Ja, przecież wiesz panie Wacker, że ja tylko pisać się uczyłem, niech pan gajowy przeczyta.

G A J O W Y.

Ja? od czasu jak mię postrzelono w twarz już nie czytam więcej, proch nadwreżył zręcznice, już po moim wzroku! dajcie ten list Piotrowi.

P I O T R.

Ja tylko drukowane umiem czytać; ale na

szczęście, pan Pisarz tu idzie, to jest uczony człowiek! ten nas z kłopotu wybawi.

## SCENA VII.

CIŻ, PISARZ.

WACKER.

Witam was panie pisarzu.

WSZYSZY.

Witamy, witamy,

PISARZ.

Dień dobry, dzień dobry moi przyjaciele! Tu widzę cała wieś zgromadzona! cóż to jest, aha, zgaduję, możecie mi wierzyć, pewno jaka uroczystość! Urodziny ojca Wacker, nieprawdaż?

WACKER.

Nie, panie pisarzu, nie zgadleś. Oto odebrałem właśnie list, a ponieważ nie mam ze sobą okularów, a żaden z tych poczeiwych ludzi czytać nie umie, przeto chciałem prosić pana...

PISARZ.

Oh, z całego serca, z całego serca, dajcie mi tylko! Ja umiem czytać, możecie mi wierzyć. *(czyta)* »Gdańsk, dnia 12go Stycznia.

»Z wielką boleścią przychodzi mi uwiadomić  
»WPana, że jego szwagier Pöler, Kapitan o-  
»krętowy, umarł przed sześciu miesiącami w Bo-  
»stonie w Stanach Zjednoczonych....«

WACKER, (*i wszyscy, których to dotyczy oka-  
zują boleść i zadziwienie*)

Umarł?

G A J O W Y.

Umarł w Bostonie?

P I S A R Z.

W Bostonie, w Sta... Możecie mi wierzyć!  
(*czyta*) »Mój korespondent przysłał mi także  
»jego testament, pospieszam przesłać go panu.  
»Zostaję z szacunkiem. Butter negocjant.«

P I O T R.

Biedny człowiek! tylko co mówiliśmy o nim.

WACKER. (*wzruszony*)

Mój pocziwy szwagier!

R Ó Z I A.

Kochany stryjasek!

WILHELM. (*n. s.*)

Ah! żeby też ożenił się w Bostonie, i teraz  
cały swój majątek zapisał żonie.

PISARZ. (*do wieśniaków*)

*Silencium!*

G A J O W Y.

*Silentium!* to się znaczy: uważajcie!

PISARZ (czyta)

»Czwartek 15 Stycznia. Ja Antoni Jakób  
»Pöller, Kapitan i t. d. daję i zapisuję mojemu  
»szwagrowi Kacprowi Wacker, wszystkie  
»gotowe pieniądze, które on podziś dzień ode-  
»brał, z użytkowania należącego do mnie ma-  
»jątku ruchomego i nieruchomego, i co na przy-  
»szłość jeszcze otrzyma. Posiadłość zaś, jako  
»to: wioska, sześć łąk i las, daję i zapisuję jego  
»córkom: Kasi, Magdusi i Rózi...«

M A G D U S I A.

Oh ten nieoszacowany stryjasek! nie zapomniał o nas.

PISARZ. (czyta)

»Lecz ponieważ posiadłość ziemska, jest  
»najznaczniejszym legatem, dla tego postanawiam  
»niniejszem: aby ona była własnością tej  
»z trzech siostrzenic, która w piękności jest  
»niższą od dwóch innych; zdawało mi się bowiem,  
»że przynajmniej większym majątkiem  
»należało jej nagrodzić nieżyczliwość natury,

„a tym sposobem ułatwić jej wyszukanie  
sobie męża.”

WACKER. *(zdziwiony)*

To rzecz dziwna!

P I O T R.

Ej przekłęcie! to się ma prawie znaczyć:  
że zapisuje posiadłość najbrzydszej!

P I S A R Z,

Tak jest, to się ma znaczyć. Możecie mi  
wierzyć.

M I C H A Ł.

Bardzo rozumnie, podług mnie.

L E Ś N I C Z Y.

Bądź cicho gapiu, rozumiesz.

M I C H A Ł.

Rozumiem, gapiu, któżby nie zrozumiał?

K A S I A.

Fe! to szkaradnie!

M A G D U S I A.

Niegodnie!

R Ó Z I A.

To woła o pomstę do Nieba.

K A S I A.

Co się mię tycze, ja się nie ośmielę upo-  
mnąć o wioskę.

M A G D U S I A.

Ja także nie.



R Ó Z I A.

A ja wcale nie.

K A S I A.

No, już cię jednej z was musi się przecię dostać, bo mnie się zdaje, że ja jestem dosyć ładna.

M A G D U S I A.

No, ale przecież nie będziesz chciała być piękniejszą odemnie!

R Ó Z I A.

Wy obie jesteście piękniejsze, to może i ślepy zobaczyć, że ja.....

W A C K E R.

Ha, czy będziecie wy cicho! chciałem się końca doczekać, ale jak widzę, toby do jutra trwało. Panie pisarzu nakaz milczenie.

P I S A R Z.

Silentium!

G A J O W Y.

Silentium! to znaczy: uszy w górę.

M I C H A Ł.

A pierwój Jegomość inaczéj tłumaczył.

G A J O W Y.

Cicho głupcze!

W A C K E R.

Czy już wszystko przeczytałeś?

P I S A R Z.

Nie, tu jeszcze coś napisane (*czyta*) Hm... hm. »Wyszukanie sobie męża, aby uniknąć wszelkiego stronictwa, niech ten podróżny, który po odczytaniu tej ostatniej mojej woli, pierwszy przez wieś przechodzić będzie, jakiegokolwiek będzie stanu i wiary, niech ten podróżny wyda swój wyrok o dziewczętach.«

W A C K E R.

Nowa trudność. Gdzież znajdziemy podróżnego?

M I C H A Ł.

O ten już znaleziony; tylko co włóczy się z dydek ze swoim tłumoczkim, wlaź tu obok pod żółtego łabędzia.

W A C K E R.

Trzeba go natychmiast sprowadzić.

P I S A R Z.

To ja biore na siebie, sprowadzę go tutaj, możecie mi wierzyć.

K A S I A.

Co, my mamy być sądzone przez jednego żyda?

M A G D U S I A, R Ó Z I A.

Nigdy!

P I S A R Z.

Tu stoi: »jakiegokolwiek bądź stanu i wiary.«  
Możecie mi wierzyć.

M A G D U S I A.

To mi wszystko jedno, chrześcianin, żyd,  
turek, poganin, nie chcę mieć wioski.

R Ó Z I A.

I ja nie.

K A S I A.

I ja nie.

W A C K E R.

Jakto, nie chcecie takiej prześlicznej wio-  
ski, która rocznie 900 talarów przynosi do-  
chodu.

H A N S.

Poszalały dziewczęta!

P I S A R Z.

Zostawcie mi testament ~~sz~~ do wieczora,  
już ja pomyślę w urzędowym miejscu o do-  
pełnieniu wszystkiego czego wymaga.

W A C K E R.

Idę z tobą panie pisarzu. Dziewczęta, miej-  
cie rozum, i bądźcie gotowe ukazać się przed  
waszym sędzią. Pójdźcie dzieci!

M I C H A Ł.

Panie rzadco, idziemy za tobą. (*odchodzą,  
Wacker, Pisarz i wieśniacy*)

K A S I A.

Ten szachraj niech mi się na oczy nie pokazuje. (*n. s.*) wiem co zrobię! (*biegnie do ogrodu*)

M A G D U S I A.

Ja się ukryję w piwnicy. (*n. s.*) Mnie on pewno nie wybierze! (*odchodzi*)

R Ó Ź I A.

Ja spieszę na wieś. Miałaby ten biedny Wilhelm utracić wszelką nadzieję? Nie, nie! ja pewno nie dostanę wioski. (*odchodzi*)

## SCENA VIII.

PIOTR, HANS i GAJOWY. (*który w głębi stoi*)

H A N S.

Piotrze!

P I O T R.

Hans!

H A N S.

Magdusia głupia!

P I O T R.

Kasia zwarjowała!

H A N S.

Ty nie dostaniesz wioski.

P I O T R.

I ty jej także mieć nie będziesz.

H A N S.

Ale testament; przecież go nie mogą prze-  
robić.

P I O T R.

Dla czego nie? jeżeli tylko będą chciały; wi-  
działeś jak one tę rzecz niesmacznie przyjęły.

H A N S.

Tak, prawda, dziewczyna jest to uparte  
stworzenie jak kozioł.

GAJOWY. (*w głębi*)

Co oni tam ze sobą szepczą, ci dwaj dra-  
gale.

P I O T R.

Kiedy one się tak gniewały, rzucały, ani  
słówka nie przebaknąłem, ale rozmyślałem,  
i wynalazłem, wykoneypowałem sposób.

H A N S.

Eh! jakiż masz sposób?

P I O T R.

Powiedziałem ci, że mam sposób, ale ja-  
ki? sam jeszcze nie wiem, jednak to nic nie  
szkodzi. Ale słuchaj, kto otrzyma wieść, ten  
da drugiemu 500 talarów, przystajesz?

H A N S.

Z całego serca!

GAJOWY. (*n. s.*)

Miałem głowę, żem tu został.

P I O T R.

Więc pójdź!

H A N S.

^ Bardzom ciekawy.

P I O T R.

Pójdziemy do matki Katarzyny, ta stara musi... no, już zobaczysz.

H A N S.

Ty jesteś.. pfiu!... niech cię kule biją!... masz straszny rozum! (*odchodzą oba*)

## SCENA IX.

G A J O W Y.

Ah! śliczne rzeczy! Oni chcą złapać wioskę, a ja mam przestać na łąkach albo lesie? A kogóż będę pasł na tych łąkach, osła, siebie, gdybym na to przystał? Nie z tego, Rózia nie jest ładniejszą od swoich siostrzyczek, a więc i ja mam pretensję. (*patrzac za scenę*) Już idą wszyscy, i Izraelski sędzia pomiędzy niemi, Biegnę za temi dwoma filutami, i nie spuszczę ich z oka. (*odchodzi*)

## SCENA X.

WACKER, PISARZ, MOJSIE ICEK. (*z paczką towarów na plecach*) MICHAŁ, WIEŚNIACY, WIEŚNIACZKI.

M I C H A Ł.

No, już tedy pan wójt wyczytał testament, tak w nim stoi napisane: że kto pierwszy będzie jako podróżny przez wieś przechodził lub przejeżdżał, ten musi starownie i sumiennie osądzić, która z trzech siostr jest najbrzydszą.

W A C K E R.

Jak powiedziałem mój przyjacielu, to ci nie zaszkodzi. Wydadz wyrok podług twojego przekonania, i nie zważaj bynajmniej na opór dziewcząt.

I C E K.

Przyznam się mój drogi panie, że to jest dziwna propozycja, mam powiedzieć która?..

P I S A R Z.

Pozwól panie Wacker, ja mu tę rzecz zrozumiałe i jasno przełożę. Możecie mi wierzyć. Będziesz.... ja ciebie już znam dobrze... ale, jak się nazywasz?

I C E K.

ŚPIEW. NRO 7.

Mojsie Icek się nazywam,  
I z domn z Meseritz przybywam,  
Moja matka zwie się Estera,

Sara siostra, brat Ojzera.  
Mego ojca zowią Borach,  
Jest liwerant przy aktorach,  
Gdy tam w Meseritz aktory czasem są.  
Ojciec dzieci tuzin miał,  
A o giel'd nie wiele zbał,  
Więc trzeba w świat wędrować,  
Musim handlować,  
Szachrować,  
Za brylanty sprzedac szkło..  
Chustki i wstążki,  
I gły i książki,  
Tabaka, hiszpańskie muchy,  
Wszystko towar, świeży, suchy.  
Wszystko mam, co żąda kto.  
Cienki batyst i koronki,  
Brzytwy, piżmowe ogonki,  
Mydło, pigułki, fulary,  
I zielone okulary,  
Szuwaks w massie, i fein knaster,  
Karmelki, angielski plaster,  
Atrament, nici, bilety,  
Zapałki, noże, sygnety,



Loki pierwszego fryzera,  
Najnowsze walce Lannera;  
Drelich, papier, merynosy,  
I farbę na różne włosy,  
Kto chce niech spróbuje ją.  
*Eau de cologne*, szwajcarski ser,  
I karty do wszystkich gier,  
Lak i wojsko ołowiane  
I panienki malowane.  
Słowem wszystko u mnie schein,  
Wszystko piękne, wszystko fain.  
Oh panowie kłaniam się,  
Zarekomendujcie mię.

P I S A R Z.

Dobrze, dobrze, będziemy cię polecać. Powiedz mi panie Icek czy ty jesteś oczytany? bo chcąc być sędzią...

I C E K.

Oczytany? ja? Czy ja jestem oczytany! Ja tak się oczytałem, że gdybym był przezroczysty, toby mię przeczytać można było *durch!* Umieję na palcach: Talmud, małe i wielkie jeden raz jeden, najnowsze romantyczne dzieła; zawsze mam przy sobie jaką książkę, i kiedy z moim

tlómczkiem idę z jednej wsi do drugiej, zawsze sobie czytam przez drogę. Szczególniej lubię komedje, sztuki teatralne. Ot i teraz! nie mało wylałem łez nad trajedją pana Grilparzera, Sofa, to musi się strasznie, okrutnie wydawać, patrzcie państwo, oto mam. (*dobywa dwie książki, i otwiera z nich jedną*) Sofa, trajedja.

P I S A R Z.

Sofa, ha, ha, ha! Safo się nazywa, ja to czytałem, to był wódz Egipski... możecie mi wierzyć.

I C E K.

Sofa, Safo, niby nie na jedno wychodzi, ale Safo nie jest on tylko ona.

P I S A R Z.

Wszystko jedno., ale ta druga książka?

I C E K.

To jest także Safo. Powiedziano mi, że to jest tak bardziej poruszające, że dwa razy przeczytać ją trzeba; dla tego kupiłem dwie książki, jak jedną wyczytam, zaczynam drugą, to już mi się tak nie nudzi. Potém sprzedaję z małym procentem pół na jeden, dodawszy do tego czytanie, to sto na sto zarabiam.

P I S A R Z.

Przebiegły człowiek, możecie mi wierzyć,..  
i odcytany.. Tym sposobem, będziesz zapewne  
wiedział kto był Parys, ~~co~~ to był za je-  
den?...

I C E K.

Co ja bym nie miał wiedzieć kto był Pa-  
rys? To był chłopiec grecki który pasał gę-  
si. Trzy stare boginie, Juno, Minerwa i Cebu-  
la, chciałem powiedzieć Cybela, pokłóciły się  
o bursztówkę jabłko, które miało należeć do  
najpiękniejszej, a Parys dał je Wenerze, ale  
to było nie za darmo, bo ona mu przyrzekła  
pannę Helenę za żonę, tę samą co była za  
nią wojnę z Troją. Czy nie tak?

P I S A R Z.

Wojnę stroją, pięknie ją stroją!.. ale tak, tak.  
(do innych) Możecie mi wierzyć, ogromnie  
mądry człowiek choć mu głupio z oczu pa-  
trzy. (do Ieka) A więc ty stań się teraz no-  
wym Parysem, stosownie do niewzruszonej  
klauzuli testamentow<sup>ej</sup>, z tą tylko różnicą, że  
zamiast najpiękniejszej, musisz wybrać naj-  
brzydszą.

I C E K.

To mię cokolwiek z tém lepiej, jak temu staremu Parysowi; on musiał dwie ogłosić brzydkimi, a ja dwie pięknymi ogłoszę. Jestem o dwieście procent w lepszym interesie, ale powiedzcie mi państwo: czy te wszystkie trzy imościanki, są tak... trochę brzydkie?

P I S A R Z.

Nie, bynajmniej, one są wszystkie trzy ładne. Możecie mi wierzyć.

I C E K.

O bieda! to łaskotliwa i trudna sprawa. Wszystkie trzy ładne?

W A C K E R.

Nie uważaj bardzo na piękność, staraj się tylko poznać ich niedoskonałości. Idę po nie, i przyszlę ci tu wszystkie; tylko nie daj się im podejść, żadna nie chce być najbrzydszą, żeby nawet nagroda jeszcze raz była tak wielką. No zrozumiałeś tedy?...

I C E K.

Zrozumiałem, zrozumiałem; będę musiał strzedz moich oczu. Ny, jak Bóg da!

P I S A R Z.

Zostawiamy cię teraz samego, możecie mi wierzyć.

I C E K.

O to właśnie chciałem prosić, bo przy wielu świadkach, możeby panny nie dotrzymały placu, *a propos* jak się nazywają te trzy ładne dzieci.

W A C K E R.

Kasia, Magdusia i Rozia, ja jestem ich ojcem, zarządca dóbr, Wacker.

I C E K.

Dobrze! Przyszlijże mi panie zarządcu, prędko swoje córeczki.

W A C K E R.

Tak, jeżeli tylko będą chciały przyjść dobrowolnie. Postaram się o to. (*odchodząc do domu*) Spróbuję.

P I S A R Z.

Jak wybierzesz, przywiąż tę białą chustkę do tej wielkiej tyki, i utkwij ją w ziemię tu na wzgórku, to będzie znak naszego powrotu. Tylko spraw się dobrze, miej rozsądek, a dostaniesz prócz wdzięczności, tęą nagrodę.

I C E K.

Jakto, prócz wdzięczności, nagrodę? czy wdzięczność to także pieniądz.

P I S A R Z,  
Nie, ale to się także liczy.

I C E K.  
Ja wolę gotowiznę liczyć.

P I S A R Z.  
Dobrze, już cię zostawiamy. (*odchodzi*)

M I C H A Ł.  
Jestem ciekawy jak słowik. (*wszyscy odcho-  
dzą*)

## SCENA XI.

MOSIE ICEK. (*sam*)

Spraw się dobrze! miej rozsądek! tak się to mówi! Zeby tylko te panienki modnych igiełek na paluszkach nie miały! rozum po szkodzie przychodzi, wiem po sobie samym! hu! co ja już na świecie miałem szkody! Kiedy sobie przypomnę na tego pana, co mi 400 talarów winien! Kiedy przyszedłem do niego po pieniądze, on się właśnie kazał golić swemu kamerdynerowi, już był do połowy ogolony, i spytał mię: słuchaj Icek, czy chcesz tak długo poczekać na pieniądze, dopóki całej brody mi nie ogoli? Ja odpowiedziałem, oh proszę Jaśnie pana, z największą chęcią. Cóż on zrobił? obtarł mydło, zapuścił sobie modną

bródkę i do dzisiejszego dnia z nią chodzi, a ja ani grosza nie odebrałem. O ja biedny Icek, biedny żydek; on siebie do połowy ogolił, a mnie całego!

## SCENA XII.

ICEK, KASIA. (*weszła ukradkiem*)

K A S I A.

To on! - żeby go można jako pozyskać dla siebie. (*głośno*) Dzień dobry, mój poczciwy handlarzu!

I C E K.

Dzień dobry panience! (*do siebie*) Aj, aj! co to za miluchny buziaczek! Czy to przypadkiem nie jest jedna z moich bogiń?

K A S I A.

Szukałam cię w karczmie, chciałam co kupić od ciebie. Czy nie masz co ładnego dla mojego kochanka.

I C E K.

Aha? panienska masz kochanka! ny, jatu mam tak coś pięknego, coś takiego jeszcze panna nie widziała, jedwabne chusteczki! Proszę zobaczyć! co to za kolory! jak to się błyszczy jakby tęczą!

K A S I A,

Ah, ładna, jaka ładna! Cóż kosztuje?

I C E K.

Co kosztuje! co ona mię kosztuje, to mi pewno panienka tego nie da! Wszędzie bieda, złe czasy, człowiek sprzedaje ze stratą, bo dajem umarł jeżeli mię samego więcej kosztuje, co ja sprzedaję, ale muszę na początek, żeby coś gotówki mieć w kieszeni. Ja dałem za to talara, sprzedam za pięć złotych 28 groszy.

K A S I A.

Ja nie chcę twojej krzywdy mój poczciwy żydku, masz talara.

I C E K. (*n. s.*)

Co to jest, co się dzieje? czy się świat obrócił? Zapłaciła więcej niż chciałem... ah to szczęście! (*głośno*) Niech pan Bóg panience da długie lata, i niech konwersuje jej piękność, aż póki nie zginie.

K A S I A.

Moja piękność? żartujesz sobie, ja wcale nie jestem piękną.

I C E K.

Co panienka mówisz? przecież ja się muszę znać na tém.



ŚPIEW NRO 8.

Auf meine munes, to dziewczę jest cud,  
Slepy to przyzna, na pierwszy oka rzut,  
Ząbki jak perły, usta jak granaty,  
Oczęta się błyszczą jak nowe dukaty.  
Ah jaka buzia, tak mi się zda,  
Jak gdy się lujdor ważny ma.  
Jakem poczciwy, przechwalać nie chcę.  
Rączka tak pulchna; że aż dusza lgnie,  
Nóżki tak drobne, śmiało wyrzec mogę  
Gdybym miał takie, nie poszedłbym w drogę.

Zalety jój tak mi zajęły już głowę,

Jak obligacje bankowe.

Gdyby ona przez uścisk dłoni

Kochankiem mię nazwała swym,

Lecę na Post, biorę sześć koni,

I z świata fort do raju brniem.

I z świata fort; ah, do raju brniem.

K A S I A.

Eh co ty mówisz. Zartujesz sobie tylko. Zobaczno wprzód córeczki pana rządcy dóbr, te dopiero są ładne, ho!

I C E K.

Czy panna nie jesteś jedną z jego córek?

K A S I A.

I, broń Boże! ja jestem Anusia, córka wójta.

I C E K.

Ha, ha, to tak, to znów co innego.

K A S I A.

Za żadne w świecie pieniądze nie chciałabym być jedną z tych biednych dziewcząt.

I C E K.

Dla czego?

K A S I A.

Ponieważ jedna z nich ma być uznana za brzydką przez pierwszego lepszego głupca, który przez naszą wieś podróżować będzie.

I C E K. (*n. s.*)

Ta pewno nie wie, że tym pierwszym lepszym głupcem ja jestem, mogę właśnie korzystać z tego. (*głosno*) No, moja panienko, przecie panienka nie masz się w tym interesie czego lękać. Ale powiedz mi też, gdybyś ty wybierać miała, na którążby padł twój wyrok?

K A S I A. (*prędko*)

Na Kasię pewno nie, bo ona jest najładniejsza, to wszyscy ludzie mówią, mnie się zdaje, że Różia najbrzydsza, bo jak się do-

brze wnią wpatrzysz to zobaczysz, że ma piegi, i brodawkę małą około ucha.

I C E K.

Tak? piegi i brodawkę małą? to mała, ja mam dla niej lekarstwo. Mam tu przedziwną prawdziwą wodę do upiększenia płci, aptobowaną i za nieszkodliwą uznaną, tą jak się kilka razy umyje zniknie wszystko; zaraz jej sprzedana...

KASIA. (*prędko*)

Nie, nie, to lepiej dla mnie zachowaj! dobrze ci za nią zapłacę; pójdę tylko do domu, i zaraz przyniosę pieniądze. Tymczasem do widzenia! Powiedz mi, czy ty pierwój nie żartowałeś?

I C E K.

Z czém takim?

K A S I A.

Z temi perłami i granatami...

I C E K.

Niech Pan Bóg zachowa! Prawda, zupełna prawda!

K A S I A.

No, do widzenia, adieu, a zachowaj dla mnie

wodę. (*n. s.*) To mi się udało, pewną jestem  
ze mnie nie wybierze! (*wybiega*)

ICEK. (*sam*)

To jakaś pełna wspaniałości dziewczyna!  
Niech jej Bóg da długie lata. Z moją wodą  
na piękność będzie dobry *Rebbes*; dobrze za  
nią zapłaci, a mnie prawie nic nie kosztuje.  
Ha, ha, to czysta woda, zmieszana trochę  
barszczu i parę kropel anodynów, i... *proba-  
tum est!* Nic nie pomoże, ale nic i nie za-  
szkodzi. Zawsze ja jestem lepszy od tych co  
nietylko nie pomagają, ale jeszcze szkodzą.

### SCENA XIII.

ICEK, MAGDUSIA.

MAGDUSIA.

To on! zaczynajmy. (*głośno i narzekając*)  
Ah! mój Boże! mój Boże!

ICEK.

Co to jest? znów jakieś ładniuchne dziew-  
czę! Błogosławiona wieś! Cóż ci to jest mo-  
je śliczne dziecię?

MAGDUSIA.

Ah, byłam tak zamysloną, sądziłam że je-  
stem sama: ciągle przemyśliwam nad nieszczę-  
ściem, które mi zagraża.

I C E K.

Nieszczęście, jakto?

M A G D U S I A.

I, musiałeś przecię już słyszeć, że dziś podróżny przez naszą wioskę przechodzący, ma wydać wyrok, która z trzech córek rządcy Wacker jest najbrzydsza?

I C E K.

Tak jest, słyszałem, i ja sam jestem ten podróżny.

M A G D U S I A.

Czy podobna? Ah to możesz mię uczynić szczęśliwą.

I C E K.

Jakto? czybys panna była jedną z córek?

M A G D U S I A.

A niech mię Bóg zachowa, jestem na to za brzydka. Słuchaj no mię. Mój ojciec jest tu we wsi bakałarzem, ma się nieźle. Michał Klinge jest moim kochankiem, ale on strasznie dba o pieniądze, i prócz tego ma jeszcze jedną na widoku, Magdusię Wacker, którą właśnie dziś sądzić będziesz. Ta dziewczyna w istocie jest bardzo ładna, jak ludzie mówią, ale być może, że ją osądzisz za najbrzydszą, wtenczas stanie się dziedziczką wsi,

a jak będzie miała wieś, Michaś mię porzuci; lecz jeżeli nie przyznasz jej nagrody, to ja jestem bogatsza od niej i Michaś ze mną się ożeni.

I C E K.

Czy to ładny chłopiec, z którego chcesz panienka ożenić się?

M A G D U S I A.

Cóż robić! ja mu się raz podobałam, a jak to powiadają, nikt nie żałował, kto wczas ślubował. Jeżeli więc chcesz zarobić 10 talarów...

I C E K.

Dziesięć talarów? gotówką, kurantem, brzęczącą monetą?

M A G D U S I A.

Brzęczącą monetą; wybierz Rózię, ona bez tego i tak jest najbrzydszą. Ona ma nad łokciem martwą kość, i z prawej strony zęba jej brakuje. No, jakże, przystajesz? dobrze...

I C E K.

Dziesięć talarów! (*do siebie*) Boże, Zehn Thaler! za wielka pokusa, już mię jakoś pociąga. (*głośno*) I dotrzymasz panienka słowa? zapłacisz?

M A G D U S I A.

Masz pięć talarów na zadatek. (*daje mu pieniądze, i mówi na stronie*) Wołę dziesięć talarów stracić, jak mieć taki wstyd, że jestem brzydszą od moich siostr, a jeżeliby nawet i żyd poznał żem się za kogo innego podała, to nie powinien nic powiedzieć, bo wziął pieniądze.

ICEK. (*przez ten czas chował pieniądze*)

No, moja nieoszacowana bakalarska panienko! Idźże sobie do domu w imię Boskie! Będiesz miała twojego Michasia, chociaż on ciebie nie wart.

MAGDUSIA. (*wzdycha*)

Ah mój przyjacielu! ty nie znasz miłości. Michaś jest wcale chłopaczek do rzeczy!

ŚPIEW NRO 9.

Gdybyś Icku znał Michała,  
Pewnobyś miał dla niego wzgląd,  
Przy nim bowiem młodzież cała  
Kryć się musi zaraz w kąta.  
Jeślim z Michasiem gdzie,  
Zawsze mię skarbem zwie,  
Nim człek myśl jego zgadł,  
Już całusa skradł.

Kiedy pójdę grabić trawę,  
Wbiega za mną Michał tuż,  
Zmusza siadać na murawę,  
O miłości paple już.  
Tak szczery jego żal  
Zmiękczyłby nawet stal,  
I muszę nie chcąc brać,  
W zamian całus dać.

## SCENA XIV.

ICEK. (*sam*)

Dobrze idą interessa. Recht mówią, bierz, kiedy dają. Co mię do tego, która z nich ładniejsza, bylem cós zarobił na początek. Ale Icek, nie robisz ty jakiego głupstwa; ojciec przyrzekł ci dobrze zapłacić, a jeżeli się przekona, że ty chcesz zrobić *x* zamiast *u*, to zamiast talarków, spadnie ci co na grzbiet! Kto chce za wiele, ten nic nie ma.

## SCENA XV.

ICEK, PIOTR i HANS. (*przebrani dziwacznie za wieśniaczki*)

I C E K.

A to co za para miłych, wyrosłych dziewcząt?



PIOTR. *(do Icka)*

No jesteście!

H A N S.

Czy to jest ten sam...

I C E K.

Ja zawsze jestem ten sam kiedy co zarobić mogę. Czemużę mogę służyć. Szpilki, igły, nici. wstążki, zapalaki, mydło.

P I O T R.

Ah cóż nas nudzisz twoim kramem.

H A N S.

No zacznij już raz...

P I O T R.

I niech to nie trwa długo.

I C E K.

Ale co mam zacząć, co ma być niedługo.

H A N S.

Nie jesteście Icek?

I C E K.

Ja jestem Mojsie Icek z Meseritz. Mój ojciec nazywa się Szmul Josek Borach, a moja matka Sara, Gidel Mer...

P I O T R.

I cóż nas to obchodzi, Sara czy Klara... porzuć to na stronę...

I C E K.

Ja mam mojego ojca i matkę porzucić?..

H A N S.

Czy to nie ty masz osądzić, która z trzech córek Wackera jest najbrzydszą?

I C E K.

Tak jest, ja.

P I O T R.

A więc, ja jestem Katarzyną Wacker.

H A N S.

A ja Magdalena Wacker.

ICEK. (*otworzywszy usta, zadziwiony, mówi n. s.*)

Aj, aj! co ci ludzie pletli mi o piękności, o wdziękach! Mają ręce jak garbarze, a nogi jak stępy. Jeżeli kiedy będzie wojna, to mogą bezpiecznie przystać na grenadjerów przynajmniej.

PIOTR. (*do Hansa*)

Jak on się nam przygląda, czyżby się domyślał?

H A N S.

Ej nie, tylko śmiało. (*głośno*) No, dalej, bo nie mam czasu! Bez wątpienia ja zasługuję na nagrodę, przypatrz mi się tylko dobrze.

P I O T R.

Oh nie, wcale nie! mnie tylko zobacz!

H A N S.

Jużcić ja jestem brzydsza od Katarzyny.

P I O T R.

Ja brzydsza od Magdaleny.

I C E K.

Muszę powiedzieć, że to jest rzadka, ale bardzo szlachetna jemulacja dwóch gracji. Ale jak się stało moje najpiękniejsze panienczki, żeście tak prędko odmieniły swoje zdanie. Wasz papa powiedział mi, że żadna nie chce nagrody.

H A N S.

Tak, zastanowiłyśmy się nad tą rzeczą...

P I O T R.

I przekonały, że daleko rozumniej wziąć wioskę, bo przecież łatwiej złapie się mężulka.

I C E K.

Więc panny myślą się pożenić. *(do siebie)*  
Boże broń biednych mężczyznów!

H A N S.

Czy to cię zadziwia?

I C E K. *(z. s.)*

Muszę im z parą duserów powiedzieć! *(głośno)* Prawdę mówicie, wasza fizjonomija tak odurza na pierwsze oko, ale kiedy się dobrze

przyjrzymy, to panny nie wyglądacie tak źle. (*do Hansa*) Panna naprzykład, cóż pannie brak? Miarę panna trzymasz, jest jakaś imponująca wielkość, w całej sytuacji jej figury. (*n. s.*) to będzie sobie porządna porcja gospodyni.

HANS. (*do siebie*)

Przeklęty żyd, u niego wszystko piękne!

ICEK.

Ah, za pozwoleniem, teraz mi przyszło na myśl; gdzie jest trzecia kandydatka? Ta może usunie wszystkie ambarasy.

HANS.

Wprawdzie jesteśmy trzy siostry, ale Roza-lja jest piękną jak bożek miłości, zupełnie bez niej się obejdziemy, ona nie potrzebuje przedstawiać się.

ICEK. (*do siebie*)

Piękna, jak bożek miłości... Jak też ze mnie zażartowały te dwie obce dziewczęta.

## SCENA XVI.

POPZEDZAJĄCY, GAJOWY. (*także za dziewczynę przebrany, ukazuje się w głębi*)

PIOTR.

Do stu pierunów, musi Rózię zobaczyć! dziewczyna jak orzech! ale ona wie o tem i

z tego się nadyma! ona pewno nie przyjdzie jeżeli się jej nie przymusi!

GAJOWY. (*prędko się zbliża*)

Przeciwnie, przychodzi sama, z dobrej woli; ubiega się także o nagrodę, i podchlebia sobie że ją otrzyma. (*ktania się żydowi*)

HANS. (*z cicha do Piotra*)

Ah do kroć sto tysięcy! to gajowy, podsłuchał nas.

I C E K.

A to co? No, ta już jest jak bożek miłości, bo jak amor ma przepaskę na oczach. — Wprawdzie ma już tylko jedno oko, ale *extra fein!*

G A J O W Y.

No, kochany panie Sędzio, wydaj wyrok jak drugi Salomon... Mówią prawdę, że piękność i wdzięki są bogactwa, ale cóż kiedy za nich nawet kartoflanej zupy nie ugotujesz; ja się trzymam prawdziwego bogactwa, i tego żądam najserdeczniej, aby się dostać do wioski. Do najbrzydszej ma należeć, jeżeli jesteś znawcą ja otrzymam nagrodę. Spójrzyj na mnie, prawda żem najszpetniejsza?

H A N S.

Nie, ja!

P I O T R.

Nie, ja!

ŚPIEW NRO 10.

I C E K.

Na ten krzyk, co straszliwie grzmi  
Bębenek w uchu pięknie mi.

H A N S.

Nie jestem piękna, wiem,  
I ślepy przyzna to. —

P I O T R.

Żem brzydka, twierdzić śmiem,  
Przyświadczy osób sto.

G A J O W Y.

Mnie rzekł nie jeden gach,  
Żem szkaradna jak strach.

W S Z Y S T K I E 3.

Jam szkaradna, ja!

I C E K.

Ej pozwólcie parę słów.

W S Z Y S T K I E.

No, prędko mów.

I C E K.

Tu moje piękne wrzędzie każda staj.

W S Z Y S T K I E.

Więc wyrok daj!

*(wszystkie trzy stają wrzęd; Icek przypa-  
truje się.)*

I C E K.

- Aj waj!

W S Z Y S T K I E.

Nagrodę pewno przyzna mnie,  
Bo gdzież brzydszą znaleźć, gdzie?

I C E K.

Oto mi sęk, ze wszystkich trzech  
Chcieć wybrać jedną, to jest grzech!

(n. s.) Aj, aj, ojciec, pan pisarz, i cała wieś  
zwarjowała! Czy oni wybór zrobili szczególnej  
piękności potworów! Jeżeli te są piękne, to  
nie radbym brzydkie widzieć. Nie uważaj bar-  
dzo na piękność, mówił ojciec, staraj się tyl-  
ko poznać ich niedoskonałości. No, to niezgor-  
sza praca. (głośno) Ponieważ nie mam jabłka,  
przeto ta galka perfumowanego; mydła zastąpi  
jego miejsce. Kto ją otrzyma, zapłaci jeszcze  
złoty za nią. No, do rzeczy. (Obraz w kary-  
katurze sądu Parysa, do Hansa) Słuchaj no,  
ty moja panienko z karpia buzią, jak się na-  
zywasz?

H A N S.

Magdusia, do usług.

I C E K.

Magdusia, bravo! a ty zindycznym nosem?

P I O T R.

Kasia, na rozkazy..

I C E K.

Jeszcze jedno pieśczośliwe słówko! Nakoniec, nieśmiały i ślepy aniołek?...

GAJOWY. (z ukłonem)

Różia, wkwiecie mojego wieku.

I C E K.

Boże! w kwiecie wieku? jakże będzie wyglądać jak zwiędnieje. Nie ma co myśleć, piękna Magdusia, zachwycająca Kasia, szpetność waszej siostry przyćmiła waszą. Różia otrzymuje nagrodę. (oddaje galkę mydła Rózi) Nie zapomnij panienka, że się złoty za mydło należy.

G A J O W Y.

Niech żyje sprawiedliwy sędzia!

P I O T R.

To jest wyrok niesprawiedliwy! On się nie zna.

G A J O W Y.

Przeciwnie, zna się, i dowiódł tego! Adjeu Magdusiu, adjeu Kasiu! Oho! wieś jest moja! (odchodzi)

HANS. (n. s.)

Przekłęty bałwan! (głośno) My wiemy co



wiemy, zamiarkowaliśmy żeście wy się porozumieli z tą osobą.

P I O T R.

Ale to nic nie pomoże, pomścimy się.

H A N S.

Musi inny wyrok wydać!

P I O T R.

Bo ten jest fałszywy!

H A N S.

Tak, dowiedziemy mu.

P I O T R.

Tak, dowiedziemy, rozumiesz ty? (*oba odchodząc*) dostał pewno kubana...!

H A N S.

Oho, pewno że wziął...

## SCENA XVII.

ICEK. (*sam*)

Dowiedziemy, dowiedziemy! (*krzycząc zaniemi*) Nic nie dowiedziecie! sprawiedliwie osądziłem, rozumiesz ty panno Magdusiu, panno Kasiu! Pfuj! raz tylko byłem Parysem, i nie chcę być nim nigdy więcej. Ale trzeba dać znak umówiony! (*zawiazuje chustkę na tyce*)

## SCENA XVIII.

ICEK, WACKER.

W A C K E R.

Eh Bóg wie gdzie się te dziewczęta pokryły!

Mój przyjacielu, niech ci się nie nudzi, nie mogę znaleźć moich córek, ale trochę cierpliwości.

I C E K.

Już one tu były.

W A C K E R.

A więc już pan wybrałeś?

I C E K.

Wybrałem i przyznałem.

W A C K E R.

Wybór był straszliwie trudny.

I C E K.

Krywawo się zapociłem.

W A C K E R.

Nieprawdaż! wszystkie trzy prześliczne...

I C E K. (*n. s.*)

Nie, ten człowiek, ma *fixum* (*głośno.*) Tak prawda, strasznie piękne!

W A C K E R.

To nie są pospolite wiejskie dziewczęta.

I C E K.

Masz pan *recht*, bardzo są nadzwyczajne.

W A C K E R.

I którejże przyznałeś nagrodę?

I C E K.

Tej pannie, jeszcze w kwiecie wieku będącej, pannie Rózi.

W A C K E R.

Co? téj lubéj, pięknej, ognistej Rózi?..

I C E K.

Hm, hm. Ognistej! (*n. s.*) bodaj mię!.. ognista? tak, prawda, wydawała mi się jak gdyby już w ogniu była.

## SCENA XIX.

POPRZEDZAJĄCY, WILHELM, MICHAŁ. (*Wieśniacy, Wieśniaczki*). KASIA, MAGDUSIA, RÓZIA.

W S Z Y S C Y.

Jesteśmy, jesteśmy! któraż ta szczęśliwa?

I C E K.

Moi szanowni panowie wieśniacy i wieśniaczki, oznajmiam niniejszém wedle powinności i sumienia, że ta z córek pana Wacker, którą najmniej o wdzięki obwinić można jest *so wie ich lebendig bin*, (*akord*) jego najmlodsza córka Rózia.

SPIEW, NRO 11.

W S Z Y S T K I E.

Co słyszę?

W A C K E R.

Jakto, Rózia?

W I E Ś N I A C Y.

Jakto Rózia?

KASIA, MAGDUSIA.

Ej Rózia!

W I L H E L M.

Boże, Rózia!

W S Z Y S C Y.

A więc Rózia, okropny raz!

MAGDUSIA, KASIA.

Oh, pan Icek podszedł nas!

R Ó Z I A. (mówi)

Ale kochany ojciec, co to ma znaczyć? Jak-  
żem ja mogła dojść do tego zaszczytu, kie-  
dy ja wcale...

## SCENA XX.

POPRZEDZAJĄCY PISARZ. (*spieszy naprzód,  
za nim*) HANS, PIOTR, GAJOWY. (*w ubiorach  
męzkich*)

P I S A R Z.

Panie Wacker! przeslepiliśmy jedno *nota-  
bene*, którego wprzódy nie uważałem.

W A C K E R.

*Notabene?*

P I S A R Z. (*czyta*)

»Ponieważ tej z moich siostrzenic, której

wieś będzie przyznana, chcę dopomóc w każdym względzie, przeto żądam, ażeby ona kochankowi swojemu, jeżeli go przypadkiem już ma, albo wybierze, w przeciągu dwudziestu czterech godzin oddała rękę.»

RÓZIA. (*z najwyższą radością*)

Co, czy być może? a więc ja dostaję wieść i za męża mojego obieram sobie...

GAJOWY. (*do siebie*)

Mnie! mnie! tom się gracko sprawił.

RÓZIA. (*wyprowadzając naprzód Wilhelma*)  
Tego.

G A J O W Y.

O przekłety *rhumbarbarum!*

I C E K.

Ale ja tego nie rozumiem!

W I L H E L M.

Moja najdroższa Róziu.

W S Z Y S C Y. :

Wybrała Wilhelma Lips,

R Ó Z I A.

Czy zezwalasz mój ojczu?

W A C K E R.

Wilhelm jest poczciwy chłopak; macie moje błogosławieństwo!

ICEK. *(który ciągle chciał mówić, teraz krzy-  
cząc gwałtownie)*

Ale dajcie mi mówić, do kroćset fałszywych talarów, dajcie mi mówić! *(do gajowego)* Mój Mosje, niech no ja się tobie przypatrzę; tak, bodajem szabasu nie doczekał, to jest mój bożek. *(do Piotra)* Bodajem tak zdrów był, to panna Kasia z indycznym nosem. *(do Hansa)* Bodajem się kuglęm udawił, to Magdusia z Karpią buzią.

W A C K E R.

Co to ma znaczyć?

P I S A R Z.

Wtém wszystkim jest jakiś podstęp, a więc na nowo zaczniemy, możecie mi wierzyć.

R Ó Z I A.

Nie, nie zaczniemy, niech wyrok zostanie jak jest, możecie mi wierzyć! Co wybrane to wybrane. Niech to będzie karą dla tych ichmościów za ich chciwość.

W A C K E R.

I ja jestem tego zdania, zostańmy przy wyroku.

K A S I A.

Ja się nie smucę, Piotr mię weźmie i bez wioski.

P I O T R.

Ha, jeżeli inaczej być nie może.

M A G D U S I A.

Ja także niemam nic przeciwko temu. Hans, będzie miał dość jeżeli mię samą dostanie.

H A N S.

Już muszę i tak upodobać cię sobie.

I C E K.

Z przeproszeniem, aja? czy ja z głową wypełniłem mój interes? Czy i zemnie także będziecie kontenci? Co Wpan myślisz panie bożku miłości?

G A J O W Y.

Niech cię diabli porwą w sądny dzień!

W A C K E R.

Ponieważ wszystko tak pomyślnie się skończyło, zapłacę mu z kassy gospodarczej 50 talarów.

I C E K. (*uradowany*)

50, talarów, ale kurantem?

P I S A R Z.

Bardzo dobrze zapłacone, możecie mi wierzyć.

I C E K.

Prawda, ale bo też bardzo trudno było wydać wyrok, możecie mi wierzyć.

ŚPIEW KOŃCZĄCY, NRO 12.

I C E K.

Z trzech szkaradnych kto wybiera,  
Która najbrzydszą być ma,  
Jest to w zerach szukać zera  
Bardzo trudna sprawa ta.

*(prowadzi Różę, Kasię, Magdusię naprzód)*

Jednak trudność nie jest mniejsza  
Wyrzec która najpiękniejsza,  
Nie wiem sam, niech skarżą Nieba,  
Której jabłko oddać trzeba?

W A C K E R.

Przez niepamięć matka Ewa,  
Niegdyś jabłko w raju rwie;  
Bierze Adam choć się gniewa,  
Zakazane jabłko je.  
Niech to wzorem dla was będzie,  
Już w małżonek będąc rzedzie,  
Myślcie: wierność to stanowi  
Jabłko tylko nieść mężowi.

M A G D U S I A.

Ten mąż wiernie kochać umie,  
Tamtę wzdycha, inny drzy,  
Ten pochlebia naszej dumie,  
Tamtę uruczy, a ten zły.



Ten zazdrosny, zapalony  
Ten aniołem jest dla zony,  
Każdy z nich chce podejść szczerze;  
Komuż jabłko nieść w ofierze?

KASIA. *(do Publiczności)*

Nowy Parys oszukany  
Stracił darmo drogi czas,  
Jak z początku bez odmiany  
Jabłka nikt niegodzien z nas.  
Czy nam zgubę zapowiecie  
Czyli łaskę zwiastujecie..?

*(mówi)* Ale ponieważ z wyrokiem śpieszyć się  
nie można, przeto prosimy Was, przychodź-  
cie często tutaj, a my:

*(śpiewa)* Usilnie będziemy wciąż pracowali  
Byście nam jabłko przyznali.

✱  
K O N I E C.

---



# PODEJŚCIE.

KOMEDJA W JEDNYM AKCIE.

*Mysł wzięta z Niemieckiego.*



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

**NA TEATRZE ROZMAITOŚCI**

*dnia 6 Września 1830 roku.*

O S O B Y:

KAROL, doktor	JP. <i>Jasiński.</i>
MARJA, jego żona	
LUDWIKA	JPa. <i>Werowska.</i>
JAN, stary służący w domu	JPi. <i>Moszyńska.</i>
doktora	JP. <i>Baraniecki.</i>

*(Rzecz dzieje się w Warszawie.)*

---

---

# PODEJŚCIE.

---

*(Scena wystawia pokój, po jednej stronie drzwi do gabinetu, po drugiej okno.)*

## SCENA I.

KARÓL i MARJA.

*(siedzą przy stoliku, na którym stoją filiżanki)*

MARJA. *(podając filiżankę Karolowi)*  
Karolu, jeszcze jedną.

KARÓL.

Dosyć moje życie, dziękuję.. *(patrząc na zegarek)* Co widzę? wszak to siódma.. Janie kapelusz!

M A R J A.

Gdzież tak rano?

K A R O Ł.

Zapomniałaś?. czy nie znasz mojej powinności, obowiązek mię wzywa; całe życie doktora powinno być poświęcone dla dobra ludzkości.

M A R J A.

Piękny zaiste zawód, ale przyznasz sam dla żony nienajprzyjemniejszy; zawsze sama, zaledwie kilka chwil cieszyć się z tobą mogę.

K A R O Ł.

Częstokroć kilka chwil spędzonych przyjemnie wynagrodzi całodniową prawie nieobecność.

M A R J A.

To prawda, lecz...

K A R O Ł.

Domyślam się co chcesz mówić: lecz wiem że często żonie doktora nie idzie tylko o samą obecność męża, pozbawiona jest używania zabaw, widzenia licznych zgromadzeń, okazywania się światu. To Marjo podobno największą jest z nieprzyjemności twoich.

M A R J A.

Nie sędzę aby cię to gniewać miało, chociaż ja...

K A R O L.

Bynajmniej, czuję tego potrzebę, istotną nawet, zwazając położenie innych kobiet. Przykro jest siedząc przy oknie, widzieć tyle swoich przyjaciółek korzystających z pięknego dnia, wiem że jesteś tyle dobrą, iż nigdy nie wspomniałaś mi nawet o tem, ale ja zgaduję twoje myśli.

M A R J A.

Mylisz się mój mężu.. odwykłam od towarzysztw; gospodarstwo domowe ma także swoje przyjemności.

K A R O L.

Tak, wistocie, domowe zatrudnienia są bardzo miłe, (n. s.) zwłaszcza kiedy Porucznik liczy się także do gospodarstwa domowego.

M A R J A.

Nie wierzysz?...,

K A R O L.

I owszem zupełną daję wiarę.. zatrudnienia czas nam skracają.....

M A R J A.

A jednakże mój mężu, twoja powinność,

wyznam ci szczerze, przykrą jest dla kochającego cię serca.

KARÓL. (*n. s.*)

O jak fałszywa!.. ktoby wierzył temu? (*głośno*) kochana Marjo... jest ktoś, komu moja nieobecność upragnioną się staje....

M A R J A.

Czy znowu, znowu podejrzenia?

K A R Ó L.

Wyznaj sama, ten Porucznik, nasz sąsiad.. (*n. s.*) daj Boże, by nie coś więcej, (*głośno*) zawsze wienczas o mnie pytać się przychodzi, kiedy z okna spostrzeże, że mi już wyszedł z domu... Daruj, ale taki sposób postępowania obojętnie uważanym być nie może.

M A R J A.

Nie powiedziałeś sam, że poświęcasz się dla dobra ludzkości.

K A R Ó L.

To prawda, lecz ja sama tylko i nie chciałem bym abyś i ty... a potem.. ale prawda.. są słabości na które nie mamy lekarstwa.

M A R J A.

Mówisz zapewne o chorobie serca?.. Ja sądzę, i nie ledwie z pewnością, że Porucznik tę właśnie cierpi.



K A R O L.

Dobrego więc znalazł lekarza.

M A R J A. (*obrażona*)

Któż nim jest?..

K A R O L.

Mnie nie powierzał swoich cierpień.

M A R J A.

Możnaż komu zabronić zwierzenia się?

K A R O L.

Lecz miłości...

M A R J A.

I na to nie ma lekarstwa.

K A R O L.

Przynajmniej postęp wstrzymać można.

M A R J A.

Nie próbowałam...

K A R O L.

O byłem tego pewny!.. Więc cię kocha?...

M A R J A.

Czyliżem temu winna?

K A R O L.

Okropnie!.. proszę aby ustały te odwiedziny.

M A R J A.

Przestań być doktorem.

K A R O L.

Alboż nie doniosłem w pismach, kiedy mię

zastać można... z resztą mogłabyś mu powiedzieć....

M A R J A.

Mówiłam, lecz on zapewne ma krótką pamięć.

K A R O L.

Czy dziś przyjdzie?

M A R J A.

Nie wiem; lecz Jan ci powie..

K A R O L.

Czy nie mówił?

M A R J A.

Nie...

K A R O L.

Lecz jak sądzisz, chciałbym się z nim widzieć. (n. s.) Jakieżem dziwak, któraż kobieta wyjawi to kiedy?

M A R J A.

Cóż zamyślasz, dla czegoż twe oczy tak obłąkane?.. Karolu, zawiść cię zaślepia, nie umieszże rozeznąć żartu od rzeczywistości?..

K A R O L.

Może ja drogo ten żart okupuję.

M A R J A.

Karolu!...

K A R O L.

Na samo wspomnienie, wściekłość mię porywa... oh gdybym go tu zastał, przysięgam,

że to byłaby chwila ostatnia życia jednego z nas dwóch.

M A R J A.

Okropna recepta! (n. s.) Nieszczęśliwy..

K A R O Ł.

Żarty.. proszę nie zapominać...

M A R J A.

Mężu, uniesiony prózną zawiścią sam nie wiesz co czynisz; czyliżem ci dała powód do nieufności?.. pozory nie są dowodami, lat trzy mija właśnie jakieśmy sobie miłość i wiarę zaprzysięgli, ja dotrzymuję mojej przysięgi, świadkiem mi Bóg i sumienie.. Przebacz mi: że widząc cię w uniesieniu, chciałam cię ukarać, żartowałam; ale teraz kiedy postrzegam, że żart z mojej strony, tak okropną wznieca w tobie uczucia, postanowiłam wyprowadzić cię z błędu. O Karolu, to serce, kochając cię jedynie, innego uczucia podzielaćby nie mogło. Oby twoje mojemu tylko było podobne, a szczęśliwość, którejbyśmy kosztowali, stałaby się celem zazdrości.

KAROL. (*roztkliwiony bierze zwolna rękę Marij i przyciska ją do serca*)

Tom IX.

15

K A R O L.

Marjo, przebacz.. przebacz nierozważnemu!  
i ja śmiałem cię obwiniac!.. ah poprzysięgam, że głos zawiści już po raz ostatni odezwał się w mojem sercu.

M A R J A.

Oby się twoje słowa sprawdziły!

K A R O L.

Oh, Marjo.. wątpiszże jeszcze?

M A R J A.

Znam cię Karolu, wiem jak łatwo podejrzenie wciska się do twojego serca..

K A R O L.

Odtąd już ono zamkniętém jest na wszelkie obawy; pokój od téj chwili, pokój między nami. (*uściśnienie*) Niech to uściśnienie zakładem jego będzie.

M A R J A.

Ah, jakżem szczęśliwa!

K A R O L.

I mojej radości nie nie wyrówna.

M A R J A.

Karolu, ale gdybyś mnie był w takim gniewie opuścił, biedni byliby pacjenci...

K A R O L.

Pewny twojego serca odchodzę bez obawy.

M A R J A.

Powracaj jak możesz najspieszniej.. ale, mężu nie zapominaj o tej nieszczęśliwej...

K A R O L.

Od niej zawsze zaczynam moje wizyty, już jest daleko zdrowszą... Marja się nią opiekuje.. dosyć abym o niej pamiętał. (*bierze kapelusz*) Do widzenia.. już czas na mnie.. (*całuje żonę w rękę i odchodzi*)

## SCENA II

MARJA. (*sama*)

Najlepszy człowiek w świecie!.. Niech tylko dotrzyma swojego przyrzeczenia a będę najszczęśliwszą... Prawda, że zazdrość jego wielu cierpień była mi przyczyną, lecz przywiązanie do mnie wzniecało w nim to uczucie, ta myśl łagodziła moje dolegliwości. Karolu, gdybyś mógł czytać w sercu Marji, nigdy nawet cień zawisci nie powstałby w twoim umyśle.. O mężczyzni, jakże niesprawiedliwemi jesteście, jedno nasze spojrzenie, jeden uśmiech w inną stronę, ukłon nawet, zdradą zowiecie, a my częstokroć na istotną zdradę, wejrzeniem cierpliwości spoglądać musimy.

### SCENA III.

MARJA, JAN.

JAN

Pan już zapewne wyszedł?

MARJA.

Dla czegoż to pytanie?

JAN.

Czy prędko powróci?

MARJA.

Czyż nie wiesz, kiedy pan wraca do domu.

JAN.

Wiem i właśnie to powiedziałem; ale dla pewności, przyszedłem się z ust samej pani dowiedzieć.

MARJA.

Któż to pytał się?....

JAN.

Piękna i młoda panienska, której twarz jawnie okazuje, że nie potrzebnym jej jest ten, o którego pytała.

MARJA.

Szczególniejsza wizyta... panna mówisz..

JAN.

Ładniuchne stworzenie, jednakże wchodząc tu, drżała jak listek, a dowiedziawszy się, że pan już wyjechał, uspokojona nieco zapytała o panią.. to mię zupełnie z nią pogodziło.

( 173 )

M A R J A.

O mnie... czegoż żąda?

J A N.

Pozwolenia, aby mogła pomówić z panią przez chwilę...

M A R J A.

Wprzód jednak pytała o męża, znać że... niech później przyjdzie.

J A N.

Ale - nie, pytała czy pan już wyjechał, a z panią pragnie mówić.

M A R J A,

Niechże wnijdzie...

JAN. (*odchodzi*)

M A R J A.

Szczególna wizyta... cóż ona za interes może mieć do mnie.

## SCENA IV.

MARJA, LUDWIKA, JAN.

J A N.

Niech panienska wejdzie, proszę... proszę...

L U D W I K A.

Pani, racz darować, że lubo nieznajoma, ośmielam się prosić jej o kilkochwilową rozmowę... lecz interes jest tak ważny....

15\*

JAN. (*niby zaczyna sprzątać*)

Przecież się dowiem po co ona tu przyszła.

M A R J A.

Słucham.

L U D W I K A.

Chciałabym z panią sam na sam pomówić....

M A R J A.

Janie, zostaw nas...

JAN. (*n. s.*)

Otóż mamy, dowiesz się tu co od kobiet. (*odchodzi*)

M A R J A.

Jesteśmy same... kogóż mam zaszczyt widzieć?

L U D W I K A.

To jedno, w czem jej zadosyć uczynić nie mogę... Interes, który mię tu sprowadza, nakazuje mi czynić z mego nazwiska tajemnicę, lubo, jak natychmiast pani się przekonasz, nie przyćmiłam go żadnym plamiącym postępkim.

M A R J A.

Prawdziwie zadziwiasz mię Pani, mowa jej zdaje się zwiastować coś nieprzyjemnego dla mnie...



## L U D W I K A.

Lat pięć minęło jak utraciłam rodziców, stryj przyjął mię do siebie... słabość jego sprowadziła męża Pani do naszego domu... Jego skuteczne rady przywróciły mu zdrowie, wdzięczna, nie mogłam dość wyrazić uczucia jakie mię przejmowało widząc powracającego stryja do dawnych sił. Nie taję się z tém, może ja sama byłam przyczyną, że mąż pani, nawet po uleczeniu zupełnem pacjenta nie przestawał bywać w naszym domu. Jego staranne około mnie zabiegi, obrażały mój sposób myślenia, chciałam mu to wyznać otwarcie... lecz mój stryj pamiętny jego dobroci... wstrzymywał mię od tego.

## M A R J A.

Może nie wiedział że on jest żonaty... a potem... czyliż może być w tém co złego, że mu się twoja skromność i twój wdzięk podobają? Grzecznym był... mężczyzna bydz nim powinien, o nie lękaj się pani... jestem pewna jego serca... on mnie tylko kocha... (n. s.)  
Boże! ileż cierpię!

L U D W I K A.

Posłuchaj pani cierpliwie... boli mię, że ta jej pewność wkrótce zniknie... i ja grzeczność uważałam za grzeczność; ale list, który dnia wczorajszego odebrałam, wyjawiał nie zbyt piękne jej męża zamiary.

M A R J A.

Co słyszę, list!

L U D W I K A.

Oto jest... czytaj pani...

M A R J A.

Tak, jego ręka... ha! to już za wiele...

L U D W I K A.

Przykro mi, że pomimo obojętności, jaką zawsze okazywałam mężowi paui, mogłam go ośmielić do tego postępku.

M A R J A.

(*czyta*) »Droga! Ludwiko!. Oziębłość twoja przy-  
»wodzi mię do rozpaczy.. i nie wiem jaką jej mam  
»naznaczyć przyczynę. Widzę co raz jawniej, że  
»wdzięczność okazywana w czasie słabości two-  
»jego stryja, znikła wraz z powrotem jego do  
»zdrowia... Ah Ludwiko!.. czyż takię nagrody  
»mogłem się spodziewać... Obawa cię dręczy,

»ażebyś nie została celem obmowy... ale próżna  
 »trwoga,.. doktor jest to tarcza, o którą się  
 »kruszą każdej potwarzy pociski... nie lękaj się  
 »więc Ludwiko, twój stan obecny nienajszczę-  
 »śliwszą rokuje ci przyszłość; miłość ją zape-  
 »wnić może.« (mówi) Hazdrajca!.. tego się  
 nigdy nie spodziewałam... Otóż mężczy-  
 zni, w tej chwili kiedy sami zdradzają, nas  
 winią o zdradę.

L U D W I K A.

Poznałaś pani teraz całą tajemnicę; chciałam  
 to wszystko zamilczeć, tém bardziej, że za dni  
 kilka, stryj mój opuszcza na zawsze te miejsca;  
 lecz obawa abyś pani kiedyś powziąwszy wieść  
 fałszywą, nie sądziła mnie niegodną swo-  
 jego szacunku, skłoniła mię do tego... Zrywać  
 jedność małżeńską, jest występkiem; ale nie  
 ocalać własnego honoru, jest zbrodnią.

MARJA. (pomieszana)

Ah pani, przebacz, daruj mojemu mężowi...  
 co napisał, było skutkiem chwilowego u-  
 niesienia, ja sama... gdybym była na jego miej-  
 scu... (n. s.) oh męczarnio!..

L U D W I K A.

Ta stałość duszy zaszczyt pani przynosi, lękałam się twoich cierpień; lecz może to przelotne nieporozumienie, poda pani myśl do naprowadzenia męża na ścieżkę z której zbroczył, może mimochętnie.

M A R J A.

Nie wątpię o tém.. w istocie.. jeżeli mi pani zechcesz dopomódz, dowiedziesz mi tém zupełnie twojej przyjaźni, i pozyskasz nieskończoną wdzięczność uszczęśliwionej przez ciebie kobiety.

L U D W I K A.

Co tylko w mojej mocy, chętnie uczynię..

M A R J A.

Poczekaj panie mężu! Ah, któż zgłębić może serca mężczyzn.. a szczególniej któż może wejrzeć w czynności doktorów. Zamknięty w swoim pokoju, otoczony mnóstwem książek, kiedy niekiedy bierze pióro do ręki, ja mnieślałam, że go ludzkość zajmuje, a on słodkie pisał bilety. Lecz nie mówmy już o tém.. to co było życzeń jego celem dzisiaj będzie karą.

L U D W I K A.

Jakto? ja mam być jego karą!.. sprawiedliwie.. to mię w jej oczach więcej jeszcze uniewinni.. chętnie, chętnie należeć będę do jej zamysłów... nader szczęśliwa, jeżeli dopełnieniem onych zdolną będę przywrócić wam pokój.

M A R J A.

Nie wątpię o moim planie, własnem ukarzę go uczuciem.. wzbudzić w nim zazdrość... przekonać o zdradzie.., o tak, myśl przewyborna.. on sam przed wyjazdem na miasto, podał mi sposób zemsty. Janie!.. Janie!..

## SCENA V.

TEŻ SAME i JAN.

J A N.

Co pani rozkaże?

M A R J A.

Mogę ci zaufać?

J A N.

Przykro mi, że dotychczas wątpisz pani jeszcze o tém...

M A R J A.

Ale bo to w tak delikatnem zleceniu...

( 180 )

JAN. (n. s.)

Zaczynam się obawiać. (głośno) Co pani rozkaże?

M A R J A.

Pójdiesz do pana poręcznika.

JAN. (n. s.)

Otóż mamy! (głośno) Ja pani?.. niech mi pani przebaczy... ale zapewne doświadczasz starego sługi... nie, to być nie może,.. Pani byś... nie,. (z pokorą) nie pójdę.

M A R J A.

Lecz nie ma tu nic w tym złego...

J A N.

Jestem tego aż nadto pewny... ale często pozory nawet...

M A R J A.

Oh, mój Janie, moralizujesz... bardzo pięknie z twojej strony, to przywiązanie do twojego wychowanka zaszczyt ci przynosi.

J A N.

O tak pani, kocham go nad życie... wyobraź więc sobie, czyli ten, który go dziecięciem widział, który patrzył na jego szczęście aż do tej chwili, może chociaż pozorem, zamieszać jego spokojność.

M A R J A.

Czuję to aż nadto dobrze. Ale jak mówiłeś, chcesz widzieć twojego pana szczęśliwym..

J A N.

To jedyne moje życzenie.

M A R J A.

Idzie tu właśnie o ustalenie tego szczęścia.

J A N.

I to pan porucznik...

M A R J A.

Znasz zazdrość twojego pana?

J A N.

Ze panią zbyt kocha, możnaż mu naganiać?

M A R J A.

Wymyśliłam sposób który go uleczy na zawsze z tej pionnej obawy.

J A N.

Czy tak?. lecz ten pan porucznik... nauka nie zdaje mi się być bardzo...

M A R J A.

Wysłuchaj dalej; pójdziesz do pana porucznika i prosić go będziesz o płaszcz i kapełusz...

J A N.

Ah, tylko tego trzeba do nauki.. Ah pani moja, biegnę co mam sił... lecz wyznam

szczerze, że gdyby jego osoba była tu także potrzebną nienajchętniej dopełniłbym jej rozkazów. (*odchodzi*)

## SCENA VI.

MARJA, LUDWIKA.

L U D W I K A.

Zacny człowiek.

M A R J A.

Nieoceniony! Trzydzieści lat przeżył w służbie rodziny mojego męża... Ah łaskawa pani.. nie wiem czem zdołam zawdzięczyć to dobrodziejstwo, którego szczęśliwe dla mnie skutki przewiduję.

L U D W I K A.

Widząc cię pani zupełnie szczęśliwą, dopełnię tylko mojego obowiązku.. Może od tej chwili, kiedy mąż pani [w domu stryja mojego przebywał, szczenił ci pieśczot których godną jesteś; ja mimochętnie byłam tego powodem, dopomódz ci więc do odzyskania na nowo całej nad nim władzy, jedyném jest mojem życzeniem.

M A R J A.

Poczekaj doktorze, poznasz, że cię przewyższam w sztuce poznawania słabości, i pospie-



szania z zaradcami środkami. Znam go aż nadto, wiem ile cierpi kiedy się zazdrość w nim obudzi.

## SCENA VII.

TEŻ SAME, JAN.

J A N.

Otóż jest wszystko, ale ciekawym co z tego będzie.

M A R J A.

Dowiesz się, lecz Janie, milezenie!

J A N.

Będę milczał, (*n. s.*) dopóki tylko będę mógł.

M A R J A.

Cóż mówił porucznik.

J A N.

Zdziwiony chciał tu sam przyjść... ale ja mu powiedziałem wręcz, że pani tylko płaszcza i kapelusza a nie jego prosi.

M A R J A.

Mógł się rozgniewać.

J A N.

Eh, co mi tam... jak się rozgniewał tak się przeprosi, a potem nic złego przecię nie powiedziałem.

M A R J A.

Słyszę turkot powozu. (*biegnie do okna*)

Ah, mój mąż, wysiada obok naszego domu; mówił mi, że tam ma pacjenta... przyjdzie tu bez wątpienia.. Spostrzegł mię... kłania się. (*cofając się od okna*) Pani do gabinetu!.. proszę.

L U D W I K A.

Obawiam się...

M A R J A.

Bądź pani spokojną... wszystko pójdzie po dług naszej myśli.

(*Ludwika odchodzi*)

M A R J A.

Słuchaj Janie.. pan zapewne wkrótce tu nadejdzie, ty postrzegłszy go, udawaj pomieszanie, dając mu poznać iż jest coś, czego on wiedzieć nie powinien.. Zapytany o przyczynę niespokojności, po niejakiem wachaniu, wyjaw mu pod sekretem: że w moim gabinecie znajduje się porucznik sam na sam...

J A N.

Ah, teraz wszystko pojmuję... sprawię się jak należy.

M A R J A.

Pamiętaj: że od twojego zamileczenia prawdy, zawisł pokój nieprzerwany mojego męża.

J A N.

Dobrze pani, dobrze... ho! ho! już widzę jak

mój pan się sroży, jak wielkimi krokami chodzi po pokoju.. ale jeżeli się nie mylę, słyszę go idącego po schodach.

M A R J A.

Uciekam. (*odchodzi*)

## SCENA VIII.

JAN, później KAROL.

J A N.

No przybierzmy minę dozorca strzegącego dobrego porządku, to jest aby się wszystko podług naszej woli odbywało... biedny mój Karol!

KAROL. (*wchodząc*)

Mój pacjent już wyszedł na miasto, cieszy mię to mocno... ah, Janie, gdzież pani, widziałem ją przed chwilą w oknie.

JAN. (*zmięszony*)

W oknie... wątpię... bo...

K A R O L.

Jakoż wątpisz kiedy ją widziałem?.. jak tylko mię spostrzegła, natychmiast się oddaliła.

J A N.

Być może...

K A R O L.

Czy nie był tu kto u mnie?

J A N.

Jakto, z pacjentów?

K A R O L.

Tak jest.

J A N.

Nie, panie...

K A R O L.

A inne wizyty?

JAN. (*pomiészany*)

Nie panie... nie widziałem nikogo...

K A R O L.

Zkądże to pomiészanie... taisez coś przedemną.

J A N.

Panie... cóżbym takiego...

K A R O L.

Czy pan Porucznik?

JAN. (*idzie do okna, niby chcąc wyjrzyć*)

K A R O L.

Janie... słuchać.. kiedy się pytam..

J A N.

Słucham.

K A R O L.

Czy Porucznik... był...

J A N.

Pan Porucznik...

K A R O L.

Porucznik przeklęty!.. cóż to, nie rozumiesz  
mię dzisiaj?.. Co się to ma znaczyć... Janie,  
wyjaw mi natychmiast wszystko... jeszcze  
cię nigdy nie widział tak zmieszanym.

J A N.

Ja o niczym nie wiem... Panicz się gniewa  
i chce, abym ja był spokojnym.

K A R O L.

Janie... mój kochany Janie... ty.... mój przy-  
jacielu... powiedz mi, zaklinam cię.... błagam,  
widzisz ile cierpię...

JAN. (*niby ocierając łzy, zwyciężony*)

-Nie mogę już dłużej milczeć.

K A R O L.

Powiedz, zaklinam cię.

J A N.

Nie będę dopomagał zdradzie.

K A R O L.

Zdradzie?..

J A N.

Tak panie... jego żona.,.

K A R O L.

Cóż?.,.

J A N.

Ale obawiam się pańskiego gniewu...

K A R O L.

Mów stary, albo cię wypędzę... cóż moja żona?...

J A N.

Nie sama jest w gabinecie. (n. s.) Biedny mój pan.

K A R O L.

O wściekłości! nie próżne były moje prze-  
czucia! któż więc tam jest?..

J A N.

Pan Porucznik..

K A R O L.

Zbrodzień... zabiję go...

J A N.

Strzeż się pan zgorzenia.... lepiej wszystko spokojnie zakończyć... na co ludzie o tem wie-  
dzieć mają...

K A R O L.

Precz, precz z rozważa!.. precz Janie, po-  
wiadam.. podaj mi szpadę...

J A N.

Ale panie...

K A R O L.

Szpadę mówię... ani słowa..!

JAN. (odchodząc)

Ide... No ja zrobiłem moje...

KAROL. (*sam*)

Prawdziwie, nie wiem co począć... O żono żono! ha kobiety, piekielne plemię! zdrada was przybiera w te czarujące powaby... O niewdzięczny rodzie! Wamże to powierzamy naszą spokojność... nasze szczęście! Cieszy się nie jeden, widząc zbliżający się dzień, w którym życie swoje łącząc z ubóstwianym przedmiotem, zaprzeda się nieskończonym męczarniom. O kobiety! śmierć małą jest karą w porównaniu z waszemi występkami!. Janie!.. Janie!..

JAN. (*wchodząc*)

Oto jest szpada!

K A R O L.

A teraz precz!.. nie wpuszczaj nikogo. (*Jan odchodzi*)

## SCENA IX.

KAROL (*później*) MARJA.

KAROL. (*sam*)

Otóż pięknych się dowiaduję rzeczy... mąż z wizytami do pacjentów... a zdrowi z wizytami... ha piekielnie... ale skończmy... Marjo! Marjo! (*ukrywa szpadę po za krzesłem*)

MARJA. (*wchodzi niby pomieszana, zamykając starannie drzwi*)

Ah, to ty mój mężu! Już z powrotem, jakżem szczęśliwa!

KAROL. (*n. s.*)

Zobaczmy do jakiego stopnia przeniecierstwo posunąć jest zdolną.

M A R J A.

Sam do siebie mówisz, a wołałeś mię przed chwilą.

K A R O L.

Dla czegoś odeszła tak raptownie od okna, postrzegłszy mię?

MARJA. (*udając zdziwienie*)

Od okna?.. wistocie nie widziałam cię...

KAROL. (*n. s.*)

Kłamstwo, tego przymiotu jeszcze nie dostrzegłem w mojej żonie. (*głośno*) Zdajesz mi się być niespokojną...

M A R J A.

Ból głowy nieznośny.

KAROL. (*n. s.*)

Ja go cierpieć powinienem.

M A R J A.

Co mówiłeś?



( 191 )

K A R O L.

Ja... nie... czy nikt nie był?..

M A R J A. (*prędko*)

Nie.

K A R O L.

Zupełnie nikt?..

M A R J A.

Nie...

K A R O L.

Musiałaś się nudzić?

M A R J A.

Codziennie tego doznaję, przyzwyczaiałam się już...

K A R O L.

Jakto codziennie... a ja dotychczas o tem nie wiem.

M A R J A.

Alboż i dziś rano, nie wspominałam ci, jak mi przykro tak samotnie dni przepędzać!

K A R O L.

Czy zastanowiłaś się nad tem co mówisz, samotnie.

M A R J A.

Kochany Karolu... zapominasz o twojem przyrzeczeniu... przysiągłeś mi, że zawiść już tobą powodować nie będzie... zmieniasz tak prędko przysięgi.

K A R O L.

Może nie słusznie... więc ty mię kochasz?..

M A R J A.

To pytanie Karolu obraża mię.

K A R O L.

Kochasz mię tedy Marjo..?

M A R J A.

Mój mężu, co się z tobą dzieje, nie poznaję cię wcale.

K A R O L.

Dość na tém... Marjo, wiem wszystko! wyznanie twoje o połowę zmniejszy winę... kto jest w tym gabinecie?

MARJA. (*niby przerażona*)

Mój mężu!..

K A R O L.

Ani słowa..., żądam odpowiedzi... kto jest w tym gabinecie....

M A R J A.

Jeszcze cię nigdy w takim stanie nie widział.

K A R O L.

Chociaż już od dawna powinnaś mię być w nim widzieć... nie prawdaż? (*zamyka drzwi na klucz*) O Marjo!.. do tego stopnia poniżyć się.. cóż, nie otrzymam odpowiedzi.. a więc kogo innego przywołam ażeby odpowiedział za ciebie. (*biegnie do drzwi*)

MARJA. (*wstrzymując go*)

Ah, mój mężu!

KAROL.

Próżne błaganie, próżny żal po niewczasie.

MARJA.

Ah, wstrzymaj się, uniesiony gniewem, mógłbyś zbrodnię popełnić...

KAROL.

Nie obawiaj się tego.. nie stanę się zabójcą.. lecz ten kto mi wydarł honor, niech mi wydrze i życie... (*porywa szpadę*)

MARJA. (*klękając*)

Ah, na kolanach błagam cię!.. wstrzymaj zbyteczne uniesienie.. zazdrość cię uwodzi...

KAROL.

Kłęcz, kłęcz niewierna zono! módl się za życie jednego z nas, bo jeden z nas dwóch już nie przestąpi więcej tego progu!. (*otwiera drzwi gabinetu*) Wychodź nikczemniku! (*wyprowadza Ludwikę*)

## SCENA X.

KAROL, MARJA, LUDWIKA. (*przebrana po wojskowemu*)

K A R O L.

A, okrywasz ohydne tve oblicze... zdrajco! kiedyś się nie wstydzil niecnego dopuszczac postępku, nie wstydz sięi twarzytwoiej okazać. Wydarłeś mi honor, broń życia twojego, albo wydrzyj moje.

MARJA. (klęcząc)

Mężu!..

K A R O L.

Milcz, ani słowa.. nie śmiesz się bronić... lękliwy,.. takim zawsze jest zbrodzeń!. Czy długo jeszcze czekać będę. Mości panie? (porywa go za rękę... Ludwika zrzuca płaszcz i kapelusz, przerażenie Karola)

L U D W I K A.

Już stoję do walki gotowa.

K A R O L.

Wielki Boże!.. (upuszcza szpadę, spogląda na klęczącą żonę) Ah, Marjo...

MARJA. (wstaje)

Cóż takiego, czy o śmierci teraz nie ma mowy?

K A R O L.

Ratujcie mężowie... bo nie wiem jak wybrnę z tego.

LUDWIKA. (*oddając list Marji*)

Oto jest recepta... którą mąż pani zapisał...  
Lecz zaszła pewnie omyłka, gdyż ta co ją odebrała, wkrótce na zawsze opuści te miejsca; a choćby i przeciwnie się stało, mam nadzieję: że pan po tém co się tu wydarzyło, zechcesz zapomnieć wizyt zdrowych osób, którzy zabraniając mu wstępu do swego domu, zawsze jednak wdzięczność za jego dobrodziejstwa zachowają. (*odchodzi. Karól drzwi otwiera*)

## SCENA XI. I OSTATNIA

KAROL I MARJA. •

KAROL. (*wraca, pauza długa, nie śmie spojrzeć na żonę, nareszcie klęka w témże samym miejscu gdzie żona klęczała*)

M A R J A.

Klęcz... klęcz... niewierny mężu... módl się!..  
Jam klęczała niewinna, a ty... ah Karolu...  
wiem że ci przebaczyć muszę... ale ten dzień  
długo mi będzie pamiętnym.

KAROL. (*chce powstać*)

Więc przebaczasz?..

M A R J A.

Lecz klęcz jeszcze.. i to wszystko coś w zawisłości zapale wyzionął na kobiety, odwołaj..

K A R O L.

Żono!.. odtąd nigdy obrażać ich nie będę.

M A R J A.

Przekonałeś się więc..

K A R O L.

Oh, zupełnie.. tej przysięgi, którą ci teraz czynię...

M A R J A.

Oh nie przysięgaj... dopełnij bez przysięg obietnicy, a niepokój, który cię zawiścią podnieca, nigdy twój duszy nie udręczy.. Oto moje przebaczenie. (*oddaje mu list*) Niech teraz niezmienna twoja ufność, stara się zagładzić cierpienia, które czczemi zadałeś mi podejrzewaniami.

K A R O L.

Odtąd wieczny pokój!.. Prawdziwą zasadą szczęścia domowego nie brać pozorów za prawdę... Nim wyrok wydamy, starajmy się wprzódy przekonać, a błogie chwile radości staną się naszym udziałem.

K O N I E C.

---

# KONSTANCJA

CZYLI

# SIOSTRA I BRAT.

KOMEDJA W JEDNYM AKCIE.

*z Francuzkiego tłumaczona*

pp. Scribe i Bayard.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

**NA TEATRZE ROZMAITOSCI**

*dnia 22 Stycznia 1838 roku.*

## O S O B Y.

<b>MISTRIS CARINGTON,</b>	<b>JPi. Rembecka.</b>
<b>INDJANA, jej córka</b>	<b>JPa. Jezierska.</b>
<b>PRETTY, jej siostrzenica</b>	<b>JPa. Złotoszewska.</b>
<b>KONSTANCJA, jej wycho- wanka</b>	<b>JPa. Dobrzańska.</b>
<b>EDGAR MANDLEBERT, brat PRETTY</b>	<b>JP. Stolpe.</b>
<b>LJONEL, brat KONSTANCJI</b>	<b>JP. Jasiński.</b>
<b>LUDWORTH, szlachcic, wie- śniak.</b>	<b>JP. Panczykowski.</b>
<b>WILLIAM, służący</b>	<b>JP. Oliwiński.</b>

(Rzecz dzieje się w Anglii, w zamku Mis-  
triss Carington.)

---



---

# KONSTANCJA.

---

*(Teatr przedstawia wielki salon, drzwi w głębi i boczne. Na przodzie po lewej aktorów stół; po prawej mały stolik.)*

## SCENA I.

MISTRIS CARINGTON. *(czyta dziennik)* PRETTY i INDJANA. *(pracują przy stoliku)* KONSTANCJA. *(po prawej rysując)*

P R E T T Y.

Upewniam cię Konstancjo, jeżeli nie zaczniesz się ubierać, nie będziesz gotową na bal...

K O N S T A N C J A

Mało mię to obchodził. nie pójdę.

M. C A R I N G T O N.

Jakto!. nie pójdiesz na bal?..

I N D J A N A.

Na zabawę, gdzie będzie najpiękniejsze towarzystwo całego hrabstwa!..

P R E T T Y.

I dla jakiejże przyczyny?..

M. C A R I N G T O N.

Czyli raczej.. dla jakiego kaprysu?

K O N S T A N C J A.

Jestem trochę słabą... zostanę...

M. C A R I N G T O N.

Do twojej woli... Mościa panno, dość już kiedy moją córkę i siostrzenicę wezmę ze sobą, nie będę przynajmniej na wychowankę! dawała baczenia... Przypominam sobie, że na ostatnim raucie, było nas cztery kobiet razem.

P R E T T Y.

Miałaś zupełnie moja ciociu postać ochmi-strzyni...

M. C A R I N G T O N.

Pretty, nikt się nie pyta o twoje zdanie... ale to pewna... że chcąc siedzieć, na pierwszej ławce... aby dobrze widzieć, trudno jest znaleźć cztery miejsca...

PRETTY. (*półgłosem*)

Zwłaszcza kiedy się za pięć zajmuje!

M. CARINGTON.

Co mówisz?...

P R E T T Y.

Nie moja ciotko... jestem twojego zdania...  
na balu jak i wszędzie... trzeba być zawsze  
w pierwszym rzędzie.

I N D J A N A.

To jedyny sposób aby znaleźć tancerzy.

P R E T T Y.

A następnie i mężów.

I N D J A N A.

Bardzo się myśli o tem.

P R E T T Y.

To ma znaczyć, że ty myślisz zawsze  
o tem.

I N D J A N A.

Nie tyle co ty Mościa panno.

P R E T T Y. (*wstając*)

Ja... dla mnie wszystko jedno!.. czekam  
spokojnie powrotu Edgara, mojego brata i o-  
piekuna... wtenczas pomyślę o sobie.. ale teraz  
nic nie nagli...

I N D J A N A.

Mówisz dla tego, że jesteś bogatą, a ja

nią nie jestem... ale zobaczymy która z nas dwóch pierwszej za mąż pójdzie.

M. C A R I N G T O N.

Indjano!..

I N D J A N A.

Tak moja matko!.. moja kuzynka jest tak uprzedzoną... że znieść trudno.. (*wstaje i zbliża się do Pretty*) Z czegoż ona jest tak dumną, że ma dobra.. posag; wyznaję, że bardzo pięknie być bogatą dziewczką, lecz można mieć i majątek, a być pozbawioną talentów i dobrego serca...

P R E T T Y.

A więc życzę ci żebyś przynajmniej majątek miała.

M. C A R I N G T O N.

Moście panny!

I N D J A N A.

Prawda, że nie jesteśmy tak bogaci jak ty... ale w całym hrabstwie nie wiele znajdziesz domów w lepszym mieniu od naszego.

M. C A R I N G T O N.

Nie, to pewna.

I N D J A N A.

A lubo mamy tylko 500 funtów szterlingów

rocznego dochodu... jesteśmy równie skromni  
jak Konstancja która ma tylko 50.

KONSTANCJA (*rysując ciągle.*)

Jesteś zbyt dobrą...

M. CARINGTON. (*wstaje*)

Prawdę mówisz moja córko... ponieważ nie  
jój wina, że jest sierotą, że nie ma nic... i  
że jój brat jest nic dobrego i hultaj.

K O N S T A N C J A.

Ale pani bronisz nas zwykle w sposób...

P R E T T Y.

Niesłuszny... ja stoję w obronie Ljonela,  
który w moich oczach jest bardzo przyjemnym  
młodzieńcem i z wydoskonalonym gustem.

I N D J A N A.

Ponieważ się zaleca do ciebie.

P R E T T Y.

A do ciebie nie...

I N D J A N A.

Bo nie chciałam.

P R E T T Y.

Choćbyś nawet chciała...

I N D J A N A.

Czy tak?.. zobaczymy.

M. CARINGTON (*przechodząc między Pretty i Indjanę*)

Milczenie, moje panny, cicho... cóż zna-  
czy podobna kłótnia?

I N D J A N A.

Ponieważ jest bogatą, mniema, że jej wol-  
no udawać rozum...

P R E T T Y.

Ponieważ ma rozum, sądzi że jej wolno  
mówić tylko same niedorzeczności...

I N D J A N A (*obrażona.*)

To już za wiele!..

M. C A R I N G T O N.

Jeszcze?.. ciszej!.. ktoś nadchodzi!..

## SCENA II.

KONSTANCJA, LJONEL. (*później*) LUDWORTH,  
PRETTY, MISTRISS CARINGTON, INDJANA

L J O N E L.

Wrzawa!. hałas!. przedziwnie!.. to ja lubię!..

M. C A R I N G T O N,

Ljonel!..

L J O N E L.

Zapewne roztrząsają tu coś ważnego! je-  
żeli rzecz nie dosyć zawikłana... oto jestem. (*do*  
*Konstancji*) Dzień dobry moja siostró!.. (*do*

*Ludwortha wchodzącego zwolna*) Przybywajże sir Ludworth... szanowna Mistriss Carington, czy raczy mi pozwolić przedstawić sobie jednego z moich dobrych przyjaciół... z uniwersytetu Oxfordskiego... (*damy się klaniają*) Sir Ludworth; baron, szlachec domator, który pragnie zamieszkać w tem hrabstwie.. otrzymał tu znaczny spadek.. z warunkiem testatora, brata swojego dziadka, aby się ożenił w przeciągu roku.. Ten warunek czyni go drogim przedmiotem dla wszystkich matek i ciotek.

M. C A R I N G T O N . -

Pan nie potrzebuje żadnej przedmowy, i sam siebie dosyć poleca...

L U D W O R T H .

Pani zbyt łaskawa.

L J O N E L .

A przytém bardzo nieśmiały... ja obowiązałem się pusić go w świat... zaznajomić... a nawet ożenić... mam jego pełnomocnictwo.

L U D W O R T H .

Czy tak myślisz?..

*Tom IX.*

18

LJONEL. (*zbliżając się do Pretty*)

Mnie teraz trzeba się zalecać, mnie starać się przypodobać.. a ja przyrzekam w jego imieniu być najwierniejszym z małżonków, zgadzać się zupełnie z waszemi chęciami, być wzorem rozsądku.

P R E T T Y.

Na szczęście, nie ty przynajmniej masz dotrzymać tego przyrzeczenia.

L J O N E L.

Ah, Pretty!.. ale nic nie szkodzi... żyjemy jak rodzeństwo, i można mówić otwarcie... kochany Ludworth. (*wskazując Konstancję*) Przedstawiam ci naprzód miss Konstancję, posiadającą wszystkie przymioty, których mi Niebo odmówiło... dosyć ci powiedzieć, że to jest anioł... ale nie mogę rozszerzać się nad jej pochwałę bo jest moją siostrą... (*przedstawia Indjanę*) Miss Indjana, córka pani Carington, Królowa balów, Terpsychora téj stolicy.. Nie można z nią tańczyć, aby się nią nie zająć, dla tego radzę ci, żebyś jej nie zapraszał, bo by



to pomieszało pewne układy, i byłaby w trudnym położeniu względem wyboru.

M. CARINGTON.

Co przez to rozumiesz?...

L J O N E L,

Ze miano zawsze pewne widoki względem naszego przyjaciela Edgara, brata Pretty, który w tej chwili podróżuje... (*przedstawiając Pretty*) Wzamian przedstawiam ci miss Pretty, najpowabniejszą, najuszczypliwszą z młodych dziewczeczek; ale nie życzę ci, abyś się zaciągnął do rzędu wielbicieli! bo musiałbyś, moj kochany Ludworth, ze mną pierwój stanowczą rozpocząć walkę.

MISTRIS CARINGTON. (*zbliżając się do Ljonela*)

Proszę!...

L J O N E L.

Z tych więc wszystkich piękności, którejbyś śmiało, bez obawy rywala, mógł hołdy swoje złożyć, jedna tylko zostaje... Mistriss Carington...

M. CARINGTON.

Panie Ljonel!..

L J O N E L.

Dla czegoż by nie?.. Brat jego dziadka nie zabronił mu wdów.

K O N S T A N C J A.

Bracie, podobny żart...

I N D J A N A.

Jest równie jak wszystkie nieprzyzwoity.  
(*Ludworth i Mistriss Carington rozmawiają w głębi*)

L J O N E L.

Otóż zawsze wszyscy na mnie!.. ale uspokojcie się, wiem sposób, który mię pojedna - z wami... przynoszę nowinę.

W S Z Y S T K I E.

Jakąż?...  
PICTON

L J O N E L.

Przybycie Edgara!

K O N S T A N C J A. (z żywością)

Edgara!...

P R E T T Y.

Mojego brata!..

I N D J A N A.

Mojego kuzyna!..

M. C A R I N G T O N.

Mój siostrzeniec wraca!.. jestżeś tego pewnym?...

L J O N E L.

Nowina urzędowa, godna wiary, ponieważ

nie umieszczona ani w *Thimes* ani w *Morning Chronicle*, ale mam ją w mojej kieszeni... list od niego odebrany.

M. CARINGTON, INDJANA.

Przeczytaj go prędko!

L J O N E L.

Kiedy mówiłem że miano zamiary.

P R E T T Y.

On nie skończy...

L J O N E L.

Cierpliwości!.. już czytam... (do Ludwortha) pozwolisz? (*Ludworth oddała się, Ljonel czytając*) „Kochany Ljonelu, chociaż mię nieco zaniedbałeś od trzech lat jak podróżuję“... (n. s.) To prawda, nigdy nie miałem czasu pisać... „nie zapomniałem i nigdy niezapomnę że jesteśmy prawie braćmi, że byliśmy wychowani z twoją siostrą pod dozorem i staraniem szanownego Williama Tyrold, waszego ojca a mojego opiekuna... Jego odwadze i jego talentom winieństwem majątek dziś posiadany... a którego nam zaprzeczła rodzina znacząca i można“.. Wierzę bardzo... mój ojciec miał tyle zasług; jeden z pierwszych

adwokatów Londynu, ten tylko błąd dostał wudziale, że był za nadto uczciwym człowiekiem...

P R E T T Y.

Kończże ten list.

L J O N E L.

Opuszczę pierwszą kartę... bo tu następują moje pochwały.

M. C A R I N G T O N.

Twoje pochwały?.. on żartuje!..

L J O ' N E L.

Edgar nigdy nie żartuje... jest zawsze poważnym, rozsądnym, słusznym, dla tego tak dobrze żyjemy z sobą.

P R E T T Y (*śmiejąc się.*)

Przyjaźń żyje sprzecznościami..

L J O N E L (*patrzac nań tkliwie.*)

A miłość sympatją... szczęściem dla mnie..

P R E T T Y.

Nie wiem co pan chcesz przez to rozumieć.

L J O N E L.

Może ci to wyjaśnię... (*przebiegając list.*)  
„Będę w Cleves, u mojej ciotki Mistriss Carington, w przyszły Poniedziałek 10 Maja...

W S Z Y S T K I E.

Dziś!..

LJONEL (*do Pretty.*)

Czekaj jeszcze niewszystko... (*czytając z przyciskiem*) „A co się tycze przedmiotu ostatniego listu, pomówiemy o nim. Dwa tylko kładę warunki do zezwolenia na ten związek; pierwszy, aby był zgodny z uczuciami mojej siostry; a drugi, przekonanie się że ją uczynisz szczęśliwą; gdyż jako brat i opiekun Pretty, jestem odpowiedzialny za jej przyszłość i szczęście.. i t. d. Zdaje mi się że to jasno!

P R E T T Y.

Nie bardzo... i te dwa warunki...

L J O N E L.

Pani mi zaręcz za pierwszy, a ja ci za drugi ręczę.

P R E T T Y.

Zobaczemy, jeszczem się zupełnie nie zdecydowała, i jeżeliby się to przytrafiło, to tylko dla tego: że Indjana mniema, iż pierwój odemnie za mąż pójdzie.

L J O N E L.

Ah droga Indjano, dziękuję ci!.. tobie winien będę moje szczęście.

INDJANA. (*urazona*)

Jeszcze nie dziękuj mój panie.

P R E T T Y.

Tym czasem, pozwałam ci zawsze na dziś...  
na balu, być moim kawalerem.

L J O N E L.

Więc idziemy na bal?..

M. G A R I N G T O N.

Idziemy wszystkie...

LUDWORTH. (*do Konstancji*)

Miss Konstancja czy pozwoli mi być swoim  
tancerzem?.

LJONEL. (*na stronie*)

Dobrze:

K O N S T A N C J A.

Dziękuję panu, ale ja nie myślę iść na bal...

L J O N E L.

Dla czegoż?.. to dziwactwo!..

K O N S T A N C J A.

Być może, ale nie pójdę.

LUDWORTH. (*zmiészany*)

Przebacz pani moją niedyskrecję... (*do In-*  
*djany*) Gdybym więc śmiał...

INDJANA. (obojętnie)

Nie mogę... już jestem zamówiona.

M. CARINGTON.

Co mówisz? zawsze się przyjmuje.

INDJANA.

Czyż moja wina, jeżeli mię 20 osób na-  
przód zaprosiło... nie jestem z liczby tych pa-  
nien, które dopiero na balu oczekują zapro-  
szenia.

P R E T T Y.

Pyszna, że ją kilku mężczyzn zaprosiło, i to  
winna swój nauczycielce tańca.

INDJANA.

I tym którzy mię widzą... kto tylko raz tań-  
czy zemną, zaprasza mię zawsze do pierwszego  
tańca.

P R E T T Y.

A ci, którzy z nią raz tylko mówią, nie za-  
praszają jej nigdy do drugiej rozmowy.

INDJANA.

Jeszcze? to już za wiele.

S Ł U Ż Ą C Y.

Już dano herbatę!

M. CARINGTON.

Spieszmy się. Pan raczysz przejść z nami  
do salonu?..

LUDWORTH. (*podając jęj rękę*)  
Zbyt wiele zaszczytu...

LJONEL. (*cicho do Pretty*)

A cóż... nie mówilem, na pierwszym wstępie, że mu się tylko ręka wdowy dostanie? (*wychodzą Mistriss Carington, Ludworth, Indjana, Pretty, drzwiami z prawej*)

### SCENA III.

KONSTANCJA, LJONEL.

L I O N E L.

Teraz kiedy jesteśmy sami... powiedz mi dla czego nie chcesz iść na bal?..

K O N S T A N C J A

Przykro mi to bardzo, ale nie mogę ci powiedzieć.

L J O N E L.

Mnie? .. twojemu bratu? .. dla mnie masz tajemnice?...

K O N S T A N C J A.

Później poznasz je...

L J O N E L.

Dla Boga! mówisz to z twarzą tak ponurą i smutną...

K O N S T A N C J A.

Jestem nią w istocie... kiedy pomyślę o twoich pustotach...szaleństwach...



L I O N E L.

Zabiera się na kazanie.. ja odchodzę!...

K O N S T A N C J A,

Zostań!. nie powiem i słowa!.. niech cię widzę przynajmniej, gdyż teraz zaledwie cię zobaczę.. Ljonelu, czy ty mnie już nie kochasz?

L I O N E L.

Ja ciebie nie kocham?.. wszakże ciebie tylko ma na świecie.. od śmierci naszych rodziców, ty jesteś jedyną moją przyjaciółką, jedyną towarzyszką, ale na nieszczęście lubo młodsza odemnie, twój rozum, więcej ukształcony.. i to właśnie mię zawstydzają.. to mię w kłopot czasami wprowadza...

K O N S T A N C J A.

Miałoby ci się wydarzyć nowe jakie nieszczęście?

L I O N E L.

Czyż moja wina, że nasz ojciec był człowiekiem utalentowanym a nie zostawił nam majątku.. gdybyś wiedziała, jak okropną, jak, upokarzającą jest rzeczą... szczególnie w gronie tej młodzieży z którą odbierałem wychowanie w Oxford, człowiek nie chce uchodzić za nie znaczącego... pragnie postępować z niemi w równi..

K O N S T A N C J A.

J dla czegóż nie wyznać szczerze, że twój majątek nie pozwala...

L J O N E L.

Nie śmiałem... nigdybym się nie odważył wyjawic, że mam tylko 50 funtów szterlingów przychodu... ale dzięki Niebu... już ich nie mam...

K O N S T A N C J A.

Co mówisz?...

LJONEL. (*wesoło*)

Wszystko sprzedałem, zastawiłem, panu Durster.. ty wiesz, temu negocjantowi? to mię uczyniło panem kapitału tysiąca funtów szterlingów, z którymi przez dwa miesiące grałem rolę znakomitego pana.. lorda.. Co za szczęście!.. co za rozkosz!.. urodziłem się na wielkiego pana... ale wszystko ma swój koniec... już nie mam nic... jestem zniszczony!

K O N S T A N C J A.

Nieba! i cóż powiedzą teraz?..

L J O N E L.

Nic, owszem... to mi nada znaczenie w świecie.. w wielkim świecie... Między młodemi panami, z ktoremi przebywam... mówi się: jestem

zniszczony; można powiedzieć... to wdobrym tonie. To nam nadaje postać człowieka *comme il faut*, młodego rozrzutnika. To prawie jest tytułem do wszelkich łask fortuny na przyszłość; teraz mogę dojść do zaszczytów, do godności; dowód najlepszy, że od tego czasu kiedy zacząłem dążyć do upadku, pokochałem namiętnie, tak, namiętność miljonowa, księżniczka, wdowa na dożywocie, uwielbia mnie i pragnie zostać moją żoną.. Nie wspominaj nic o tem Pretty.. ona by się śmiała ze mnie.

K O N S T A N C J A.

I k t ó ż to jest?

L J O N E L.

Księżniczka Margland...

K O N S T A N C J A.

Kobieta 60-letnia, wdowa po dwóch mężach...

L J O N E L.

Ja będę trzecim, widzisz dam ci bratową..

K O N S T A N C J A.

Jak możesz się śmiać w takiej chwili.

L J O N E L.

To prawda, nie mam chęci; bo nie powiedziałem ci wszystkiego, i dziś nawet gdybym

myślał o tém, byłbym w pięknym kłopotcie dla tego oddalam to od siebie.

K O N S T A N C J A.

I cóż to?...

L J O N E L.

Nie dawno syn lorda Melmoud, jednego z wielkich panów między któremi teraz żyję, przyjaciel nierozłączny, młody rozrzutnik jak ja, potrzebował dwóchset gineów, na trzy dni, prosi mię o nie, bez ceremonij, po przyjacielsku.. i wobec wszystkich kolegów... Jakże odmówić?.. Dla tego rzekłem do niego to-nem swobodnym: Tego wieczora mój drogi będziesz je miał.. Ale nadszedł wieczór... nie miałem! przyrzekłem, nie chcąc uchodzić za chępiącego się..... a że właśnie poruczono mi zbieranie składki dla nieszczęśliwych, aby dogodzić mojemu przyjacielowi, wziąłem..

K O N S T A N C J A.

Dwieście gineów!.

L J O N E L.

Na trzy dni, na trzy dni tylko!.. ale dziś jest dzień trzeci, a nie słyzałem jeszcze mówiących o nim; co chwila jednak mogą przyjść

do mnie po odebraniu składki.. (wracając do dawniej wesołości) lecz jeszcze czas do wieczora.. Ah! otóż mam sposób!... Edgar, nasz przyjaciel dziś przybywa, jest niezmiernie bogaty, w wydatkach bardzo oszczędny, razem wzrosliśmy oba, kocha cię jak siostrę, opowiedz mu mój wypadek, i proś go dla mnie..

K O N S T A N C J A.

Co mówisz?.. wyjawić mu twoje błędy? jak ~~ie~~ chcesz aby cię potem jeszcze szacował, aby ci powierzył majątek i szczęście swojej siostry?

LJONEL. (z żywością)

Prawdę mówisz, nie powiadam nic, wiem, że kocham Pretty, że bez niej żyć nie mogę, i że gdybym ja utracił, życiebym sobie odebrał.

K O N S T A N C J A.

Boże!...

L J O N E L.

Możeby mi potem przykro było.. ale bądź pewna żebym zaczął od tego; gdy tym czasem ukrywając święcie tę tajemnicę przed Edgarem, spodziewam się że naprawię..

K O N S T A N C J A.

Oh, jeżeli chcesz, jest czas jeszcze; ale w tym względzie idź tylko za poradą twojego serca, ono jest dobrą i wspaniałą!..

L J O N E L.

Tak moja siostró...

K O N S T A N C J A.

Nie słuchaj próżności, żądy błyszczenia...

LJONEL. *(zniecierpliwiony trochę)*

Tak, tak, siostró...

K O N S T A N C J A.

Unikaj szczególnie towarzystw które cię do zguby przywiodą.

L J O N E L.

Tak, tak dobrze...

KONSTANCJA. *(z uśmiechem)*

Moje napomnienia już cię niecierpliwia, ale mniejsza, przyrzecz mi tylko: że opuszczysz to grono młodzieży, wielkiego świata, i dziś rano już...

L J O N E L.

Bądź spokojna, na bardzo małą stawkę grać będę, i przyrzekam ci, że najwięcej przegram dwie lub trzy ginee. *(chce wyjść)*

K O N S T A N C J A.

Czy tak!...

LJONEL. *(wracając)*

Ale trzeba żebyś mi pożyczyla.

KONSTANCJA. *(zdziwiona)*

Jakto?...

L J O N E L.

Mówilem ci że jestem bez grosza... nie zwiódłem cię... nie zwodzę cię nigdy... nie mam nic... a ty masz zawsze małe oszczędności.

K O N S T A N C J A.

Przeciwnie, nie wiem nawet jak ci powiedzieć, moje finanse są w bardzo złym stanie.

L J O N E L.

A to jakim sposobem, proszę?..

K O N S T A N C J A.

Nie będziesz więc nigdy zastanawiał się, ani liczył... pomnijże na to, że mam tylko równie jak i ty 50 funtów szterlingów dochodu, a pamiętasz, że 30 dała za ciebie panu Durster, temu lichwiarzowi...

L J O N E L.

Prawda, zapomniałem.

K O N S T A N C J A.

Później, raz czy dwa razy, udawałeś się do mojej szczupłej kassy...

L J O N E L.

Tak, tak... bardzo źle z mojej strony.

K O N S T A N C J A.

Oh nie!.. i owszem bardzo mi przyjemnie kiedy ci dopomódz mogę, dla tego muszę się ograniczać w moich wydatkach; jeżeli nie idę na zabawę, dla tego tylko że nie mam sukni balowej, a nie chciałam jej sprawiać.

L J O N E L.

Czy podobna?... czyżby ci twoja kupcowa strojów nie dała na kredyt?..

K O N S T A N C J A.

Nie chcę nikomu być winną, i właśnie ostatnie trzy ginee przeznaczyłam na zapłacenie jej rachunku; pierwszy raz w życiu zboczę z moich zasad, poproszę żeby zaczęła, masz bracie...

L J O N E L.

Nigdy... raczej umrzeć, aniżeli cię pozbawiać...

K O N S T A N C J A.

A ja chcę tego, albo się pogniewamy... jeżeli nie weźmiesz, dowód że mię nie kochasz. Przecież za kilka dni odbiorę czwartą część,



a niepotrzebuję nic; gdy tymczasem ty... mężczyzna.. nie możesz być bez pieniędzy, a potem przecież nie potrzebujesz koniecznie grać.

LJONEL. (*wahając się*)

Prawda. (*z żywością*) Któż wie?.. mogę wygrać... (*bierze sakiewkę*) Wkrótce powrócę, mam nadzieję z dobrą nowiną!.. Ah jakaż byłaby rokosz zwrócić ci stokroć więcej!.. Ah wierz mi, suknie, kapelusze, dla ciebie nie masz nic zbyt drogiego, nic nazbyt pięknego. Będę grał, pewny jestem że wygram, ale to dla ciebie, dla ciebie tylko samój, i jeżeli fortuna do mnie się uśmiechnie, to tylko na twoje *conto*. (*wybiega na prawo*)

## SCENA IV.

KONSTANCJA, później, EDGAR.

K O N S T A N C J A.

Co za głowa!.. ale ma tak dobre serce!.. i aby tylko był szczęśliwy... któż tam?..

E D G A R.

Niech uwiadomią moją ciotkę... ale nie przeszkadzać tym damom.

K O N S T A N C J A.

Oh Boże!. Edgar!..

E D G A R.

Konstancjo!. droga Konstancjo!.. oglądam cię nakoniec... zapewniono mię, że moja ciotka... że wszystkie panny są zajęte toaletą, dziękuję Niebu... Ale cóż ci to?..

K O N S T A N C J A.

Mnie?. nic...

E D G A R.

Ty cierpisz...

K O N S T A N C J A.

Oh nie... nic... nie myślałam...

E D G A R.

To moja wina!.. tak cię zejść niespodzianie..

K O N S T A N C J A.

Nie!.. i owszem oczekiwaliśmy cię; mój brat uprzedził nas o twojem przybyciu...

E D G A R.

Konstancjo, powiedz mi, czy pragnęłaś czasem mojego powrotu?

K O N S T A N C J A.

Ah jeżelibyś powątpiewał o tem, byłbyś godzien abym nie pomyślała nigdy... A ty, ty.. nigdyż nie wspomniałeś przyjaciół zostawionych w Anglji?.. Trzy lata spędzone

w podróży, nie mało zapewne wzbogaciły  
twój umysł wiadomościami.

E D G A R.

Nie sądzę!.. i badam jeszcze sam siebie,  
com zyskał przebiegając Europę... kilka  
przelotnych wrażeń, które codziennie następ-  
nymi były zatarte... a które w mojej pamięci  
zaledwie zostawiły nazwiska miast i oberży.  
Co się tycze obyczajów, towarzystwa, sądziszli  
że je można poznać przebiegając pocztą z miej-  
sca na miejsce?.. jaka samotność!.. otacza cię  
wśród tych miast przeludnionych; gdy tym-  
czasem myśl zwracała się ciągle do ciebie,  
do krewnych, przyjaciół, którzy może zapo-  
minają..

K O N S T A Ń C J A.

Ah Edgarze!

E D G A R.

Zjakiemże upragnieniem żądałem was wi-  
dzieć, jak drogo byłbym opłacił widok rodzin-  
nego dachu... i uśmiechu siostry! z jakimże  
pospiechem tu biegłem... jak biło moje serce,  
postrzegając zdala brzegi staréj Anglji, a później  
to skromne mieszkanie, gdzieśmy byli wycho-  
wani... i gdzie twój ojciec dni pędził.

K O N S T A N C J A.

Jako! byłeś tam?..

E D G A R.

Tam najpierw zwróciły się moje kroki... ileż otoczyło mię wspomnień... tam zaczęły się nasze pierwsze zabawy... nasze nauki... tam, pod oczyma twojego ojca... Niestety! już go nigdy więcej widzieć nie miałem... i za tyle dobrodziejstw i starań... na grobie już tylko mogłem mu podziękować... Przysiągłem, że dzieciom jego wypłacę się z długu winnej mu przyjaźni... a ty Konstancjo, czy raczysz w jego imieniu przyjąć moje przysięgi?..

KONSTANCJA (*ocierając oczy.*)

Ach zawsze... zawsze... ty wiesz...

E D G A R.

Konstancjo... siostramoja!.. a Ljonel, gdzież on jest?..

K O N S T A N C J A.

W tej chwili nie obecny, i ciągle niespokojny o twoje postanowienie...

E D G A R.

Które niepowinno go zatrząść... i jeżeli przez swoje postępowanie... jak się spodziewam... pewny jestem... był zawsze godnym

mojej siostry... nie widzę ktoby' się mógł sprze-  
ciwiać ich połączeniu...

KONSTANCJA. (*zobawą*)

Może jego ubóstwo...

E D G A R.

Przeciwnie, dla tego właśnie pragnę tego  
związku...

KONSTANCJA. (*biorąc go za rękę*)

Ah poznaję cię Edgarze!...

E D G A R.

I cóż cię może zadziwić?.. czyliż będąc na  
miejscu mojej siostry lub mojemu, myślałabyś  
o pomnożeniu twego majątku?

K O N S T A N C J A.

Ale Mistriss Carington twoja ciotka, dała nam  
poznać, że wkrótce Indjaną jej córka...

E D G A R.

Konstancjo, znając sposób myślenia mojej  
kuzynki, a szczególniej mój, czy mniemasz,  
że ta kobieta mogłaby mię uszczęśliwić? czy  
tę towarzyszkę życia wybrałabyś dla mnie?...

KONSTANCJA. (*z żywością*)

Oh, nie!... (*zatrzymując się*) Ale może mój  
wybór byłby jeszcze niestosowniejszym...

E D G A R.

Przybywając tu, miałem inną myśl... związek który był marzeniem wszystkich dni moich... i względem tego chcę zasięgnąć twojej rady...

KONSTANCJA. (z żywością)

Mojój?.. ja nie znam się na tém!..

E D G A R.

A jednakże ciebie tylko pragnę prosić o radę; a jeżeli w tak ważnej dla mnie sprawie, odmówisz mi posłuchania... nie jesteś moją przyjaciółką...

K O N S T A N C J A.

Oh, powiedz... powiedz, słucham...

E D G A R.

Nie wątpisz, że ta co serce moje posiada... ta miłość jeszcze jest niczem w porównaniu z ufnością w niej położoną, z szacunkiem jakim mię przejmuje jej roztropność... rozsądek..

K O N S T A N C J A.

Może mylisz się?..

E D G A R.

Nie.. nie, jestem pewny tego, a jeżeli mam ci powiedzieć... Boże! moja ciotka!..

## SCENA V.

MISTRIS CARINGTON, EDGAR, KONSTANCJA  
M. CARINGTON.

Mój drogi Edgarze, kochany siostrzeńcze...  
dowiedziałam się o twoim powrocie, i widzisz  
mię...

KONSTANCJA. (*n. s.*)

Już, ona co tak długo zwykle się ubiera...

M. CARINGTON.

Byłam w rozpaczynie prawie, że nie było ni-  
kogo na przyjęcie twoje...

EDGAR.

Konstancja tu była...

M. CARINGTON.

Eh! tak prawda, ale ja chciałam mówić ko-  
goś z familji. (*do Konstancji*) Moja Konstan-  
cjo, idź proszę uwiadomić Lucjanę i Pretty, że  
ich brat, ich kuzyn jest tu w salonie. (*do Ed-  
gara*) Powinienes im przebaczyć, bo zajęte  
są ubiorem na dzisiejszy bal...

EDGAR. (*z radością*)

Jest bal, dziś rano! prawda, w Anglji tań-  
czą rano, zapomniałem... (*do Konstancji*) Je-  
stem twoim tancerzem. . zamawiam cię.

KONSTANCJA. (z uśmiechem)

Chwilę tylko..

M. C A R I N G T O N.

Ale mój siostrzeńcze...

EDGAR. (z żywością)

Przyjmuję.. już jestem zajęty.. i bardzo słuszenie.. musimy dokończyć rozmowy, która mnie mocno obchodzi...

M. C A R I N G T O N.

Cóż takiego?..

E D G A R.

Prosiłem jej o radę, bądź spokojną moją ciotko, między nami...

M. C A R I N G T O N.

Ale idźże mościa panno.. idź przecię.

K O N S T A N C J A.

Spieszę.. (n. s.) Co za szkoda, ale wszystko jedno, zdaje mi się, że znam tę osobę. (wychodzi na prawo)

## SCENA VI.

MISTRIS CARINGTON, EDGAR.

M. C A R I N G T O N.

Jakto!. ledwie przyjechałeś, a już tajemnica.

E D G A R.

Nie moja ciotko, dla ciebie nigdy ich mieć nie będę!... Oto są moje zamiary: Kocham



Konstancję, pragnę ją zaślubić, jeżeli na to zezwoli...

M. C A R I N G T O N.

I ty mnie to natychmiast wyznajesz; mnie?...

E D G A R.

Powinienem był naprzód tobie wyznać, moja ciotko, jako głowie rodziny.

M. C A R I N G T O N.

I uwiedziony jej zręcznością.. kokieterją.. zaledwie ją ujrzałeś, ledwie chwilę z nią mówiłeś, a już postanawiasz podobny zamysł przywieść do skutku...

E D G A R.

Gdyby tak było, jakieżbyś o mnie miała wyobrażenie moja ciotko. Wychowany obok niej, miłość nasza wzrastała z wiekiem, doszedłszy do lat prosiłem jej ojca, jako mojego opiekuna, o jej rękę; odmówił..

M. C A R I N G T O N.

Odmówił?...

E D G A R.

Tak moja ciotko. Jesteś bardzo bogatym, rzekł do mnie, moja córka uboga, sądzić będą żem użył mojego wpływu nad wychowawcą, ażeby go nakłonić do tego małżeństwa. To się nie zgadza z moim honorem, a ho-

nor jest jedynym moim majątkiem.« Prawdą, nie miał innego, ale co do tego majątku, był bardzo bogatym.

M. CARINGTON.

Nie przeczę..

EDGAR.

Sądź o mojej rozpacz... o moich narzekaniach.. na próżno, to go nie wzruszyło wcale.. »Dobrze więc rzekł do mnie, wyjedź na trzy lata, zwiedzaj obce kraje, dokończysz twojej edukacji... a jeżeli za powrotem nie zmienisz twoich myśli.. jeżeli jeszcze będziesz chciał połączyć się z moją córką.. to już nie do mnie należeć będzie.. jeżeli cię kocha, natenczas będąc sama panią swojej ręki, może ci ją oddać.

M. CARINGTON.

I coż?..

EDGAR.

Właśnie miałem ją o to prosić, gdyś ty przerwała nam swoim przybyciem...

M. CARINGTON (*tonem poważnym*)

Mój siostrzeńcze, możesz już rządzić twoją ręką i twoim majątkiem... nie chcę ci rad moich udzielać, może w moich ustach zdawałyby ci się podejrzane... bo nie wiesz jakie były moje nadzieje... Masz inne widoki; więc

nie mówmy o nas... ale o twojem tylko szczęściu... Mówiąc szczerze, nie wiem czy w podobnym związku, możesz być bardzo pewnym że je znaleźć potrafisz...

E D G A R.

Co chcesz przez to powiedzieć moja ciotko?..

M. C A R I N G T O N.

Że od śmierci pana Tyrold, Konstancja powierzona była mojej pieczy, mojej straży... i zdało mi się dostrzedz w jej sposobie myślenia, pewną dumę, pewną nieugiętość... oziębłość serca: a w jej postępowaniu brak porządku i oszczędności... szczególnie, pewne ukrywanie które nie zgadzałoby się z twoją zwykłą szczerością...

E D G A R.

To niepodobna... omyliłaś się ciotko!..

M- C A R I N G T O N.

Czekaj, czekaj jeszcze czas niejaki... a potem osądzisz z czyjej strony było uprzedzenie... Ale otóż i panny...

## SCENA VII.

M. CARINGTON, INDJANA, PRETTY, EDGAR,  
KONSTANCJA.

INDJANA, PRETTY.

Ach co za radość!.. Edgar powrócił...

20\*

P R E T T Y.

Pamiętałeś zapewne w podróży o twojej siostrze... zapewne mi co przywozłeś?..

E D G A R.

Pamiętałem o wszystkich, droga siostrzo.

P R E T T Y.

Wyrosłam, wypiękniałam.. nieprawdaż?..

E D G A R.

Wyrosłaś nie bardzo!.. ale co się tycze piękności... wistocie...

P R E T T Y.

Toż samo...

E D G A R.

Powiedział ci Ljonel?..

P R E T T Y.

Nie, moje zwierciadło... właśnie w samą porę przybyłeś... naprzód: żeby mi nagadać grzeczności, co zawsze jest bardzo pięknie ze strony brata.,. potem żeby nas poprowadzić na bal... a nakoniec żeby należeć do składki dla podeszłej kobiety...

KONSTANCJA. (z żywością)

Wdowy, z sześciorgiem dzieci, którą napotkaliśmy wczoraj...

P R E T T Y.

A której Konstancja dziś rano przyjść kazała...

E D G A R.

Ah! to Konstancja...

P R E T T Y.

Ty wesprzesz naszą panięską kassę... albowiem ja licząc na ciebie, tylko dałam pół ginei... oto jest...

EDGAR. (*uśmiechając się*)

Odemnie 10.

P R E T T Y.

Bardzo ładnie... Jesteś jak wszyscy bracia i wujowie, co z Ameryki przybywają... dziesięć gineów... (*wyciągając rękę do P. Carrington*) A ty moja Ciotko?..

M. C A R I N G T O N.

Ja daję dwa.

P R E T T Y.

Ah to już nie tak powabne!.. prawda że ciotka przyjeżdżasz tylko z Londynu!.. Ty Indjano?..

I N D J A N A.

Ja tylko jedną...

P R E T T Y. (*idąc do Konstancji*)

A ty Konstancjo?..

K O N S T A N C J A. (*w kłopotcie*)

Ja... nie mogę jeszcze... później... muszę jeszcze raz widzieć się z tą kobietą... powziąć niejakię objaśnienia...

M. C A R I N G T O N.

Aby dobry uczynek wypełnić... pierwój się daje, a potóm się rozważa... przynajmniej tak wychowałam moją Indjanę.

## S C E N A VIII.

MISTRIS CARINGTON, INDJANA, PRETTY,  
EDGAR, KONSTANCJA, WILLJAM. *(w głębi)*

W I L L J A M.

Pani Mittin, kupcowa strojów, prosi o pozwolenie pomówienia z paniami.

M. C A R I N G T O N.

Nie potrzebujemy nic...

P R E T T Y.

Chyba że mój brat chce kupić dla mnie kapelusz...

E D G A R.

Ja!..

P R E T T Y.

Czy cię to gniewa?..

E D G A R.

Bynajmniej, kup sobie dwa, trzy, jeżeli chcesz...

P R E T T Y. *(do Wiljama)*

Powiedz pani Mittin, że jutro do niej wstąpiemy.. Co za papier masz w ręku? *(Edgar przechodzi na lewą stronę Konstancji do stołu)*

W I L L J A M.

Rachunek pani Mittin...

M. CARINGTON. (*biorąc go*)

Rachunek... przecież ostatni razem zapłaciłam wszystko za siebie i za te panny. Ah... Konstancji... to co innego... (*czytając*) »Reszty do rachunku... trzy ginee...«

I N D J A N A.

No proszę... i ona tak postępuje jak panny wielkiego tonu.. już zaciąga długi u kupców strojów. (*Pretty przechodzi na prawo Indjany*)

K O N S T A N C J A.

Tak... wistocie... (*do Willjama*) Powiedz pani Mittin, że się z nią zobaczę... jutro z nią pomówię...

M. C A R I N G T O N.

Dla czegoż nie zaraz?..

K O N S T A N C J A.

Nie ma potrzeby w tej chwili i przy was mówić o... podobne rachunki... zbyt długo zajmujemy się takimi drobnostkami; które, jeżeli nie zwrócimy naszej uwagi, oddalą z pamięci godzinę balową...

I N D J A N A i P R E T T Y.

To prawda... Już czas iechać...

KONSTANCJA. (*do Willjama, cicho*)

Powiedz pani Mitin to co słyszałeś odemnie i odejdz...

WILLJAM. (*cicho*)

Dobrze pani, ale mam od pana Ljonela list wielkiej wagi, kazano mi go oddać pani samej...

KONSTANCJA. (*cicho*)

Więc zostań.

M. CARINGTON.

Cóż tam po cichu mówisz do Willjama?..

KONSTANCJA.

Nic... dla mojego brata... dla Ljonela... nie-  
jakie polecenia...

EDGAR.

Ale później opowiesz mi wszystko na balu.., jestem twoim kawalerem...

INDIANA.

Na balu.. ale ona nie idzie...

PRETTY-

Tak nam dziś rano powiedziała..

M. CARINGTON.

Najlepszy dowód że dotychczas nie ubrana.

EDGAR.

Prawdaż to?..

KONSTANCJA.

Tak jest.. nie mogę..



E D G A R.

Szanuję twoją tajemnicę pani...

K O N S T A N C J A.

Tajemnicę.. mógłżebyś sądzić...

M. C A R I N G T O N. (*do Konstancji*)

Ale nie.. on nie ma tej myśli.. (*do Edgara*)

Kaprys, nic więcej.. tak jej się to często przytrafia, że już przyzwyczailiśmy się.. w godzinę zapomni!..

E D G A R.

Tém lepiej.. pragnę tego z duszy; przykro mi tylko, że również prędko zapomina przyrzeczeń danych przyjacielowi.. Idźmy Pretty, idźmy moja ciotko.. Miss Indjana czy pozwoli mi ofiarować rękę?

I N D J A N A.

I owszem mój kuzynie. (*z miną tryumfującą*) Do widzenia Konstancjo.

P R E T T Y.

Adieu Konstancjo.

M. C A R I N G T O N.

Zegnam cię Konstancjo.

(*Wszyscy wychodzą na prawo. Konstancja sama zostaje w środku sceny Wiljam w głębi*)

## SCENA IX.

KONSTANCJA, WILLJAM.

K O N S T A N C J A .

Ah, ileż cierpię!.. jakżem nieszczęśliwa! oddała się, a jatu, zagniewany na mnie! (*patrząc we drzwi na prawo*) Odjechali!.. (*do Willjama*) Daj prędko, i czekaj na odpowiedź. (*Willjam wychodzi, zbliża się na przód teatru i czyta*)

»Droga siostró.. Jestem zgubiony!. Lord Melmoud nie może mi oddać moich dwustu gineów... a to dla tego, że dziś rano, ten biedny chłopiec.. wstawszy od gry, był tyle nie rozsądnym, że sobie życie odebrał!.. Boże!.. W tej chwili odebrałem także list z uwiadomieniem, że dziś wieczór przyjdą po odebranie składki znajdującej się w moich rękach. Zgadujesz, pozostaje mi tylko, albo pójść za przykładem lorda Melmoud..« Nieszczęśliwy!... »albo zaślubić starą księżniczkę, jednakże pierwszy sposób byłby jeszcze przyjemniejszym.. W każdym przypadku.. piszę do ciebie naprędce, zaraz siadamy do stołu, gdyż nie mogę opuścić przyjaciół.. ani śniadania, które mi

dają; a potem.. ale bądź spokojną nie odjadę.. nie uściskawszy cię, twój brat Ljonel... Drzę cała, wykona co mówi, jak go ocalić?... jak dostać dla niego dwieście gineów w tej chwili.. (z postanowieniem) Powiem Edgarowi... (zatrzymuje się) Ale jego przyszłość, jego małżeństwo, wszystko stracone... Na nieszczęście Ljonel już nie ma nic, sprzedał całe dziedzictwo po swoim ojcu.. zastawił temu lichwiarzowi, temu p. Durster... (z radością) Ale ja jeszcze mam mój szczupły majątek.. a jeżeli p. Durster chciał mi pożyczyć pod temiż samemi warunkami.. zabrać całe moje mienie!.. spróbujmy.. wiem jego adres...

WILLJAM. (wchodzi)

I cóż pani?

KONSTANCJA.

Czekaj Willjam.. chwilę tylko.

WILLJAM. (siada w głębi na krześle)

Dobrze pani, jak długo tylko pani zechcesz!

KONSTANCJA. (przy stole pisze)

Dobry p. Durster, potrzebuję natychmiast dwieście gineów, i dam ci na zaręczenie moje

słowo, którego zawsze święcie dotrzymuję, i jeżeli pozwolisz, dodam małą posiadłość, tysiąc funtów szterlingów, cały mój majątek, i który proszę abyś przyjąć raczył... Błagam cię oto w imieniu mojego brata Ljoneła, twego dawnego przyjaciela, któremu wyświadczyłeś już podobną przysługę. Z szacunkiem.. etc. etc., *(do Willjama)* Willjam, zanieś ten list natychmiast podług adresu, i powiedz że oczekuję odpowiedzi z największą niecierpliwością.

W I L L J A M.

Dobrze pani, biegnę. *(wychodzi głębia)*

## SCENA X.

KONSTANCJA, potem, LJONEL.

K O N S T A N C J A.

Oh! nie zechce pewnie pożyczyć, nie jestem tak szczęśliwą; nie chcąc stać się powodem mylnej radości, zamilczę przed Ljonelem; on zapewne w tej chwili zmartwiony, pełen rozpaczony... biedny mój brat!..

LJONEL. *(wchodzi, śmiejąc się i śpiewając, Konstancja chce przerwać, on śpiewa, nie słuchając jej)*

K O N S T A N C J A.

Stracił zmysły.

L J O N E L.

Gdybyś wiedziała co się stało...

K O N S T A N C J A.

Grałeś... wygrałeś?..

L J O N E L.

Wcale nie... tu idzie o inne szczęście! na-  
przód... powiem ci naprzód... był szampan..  
musujący... pienisty... pryskający... to wino...  
wiesz...

KONSTANCJA. (*niecierpliwa*)

Nie mówmy o tém... przez litość...

L J O N E L.

Przeciwnie, mówmy o tém... chochy przez  
samą wdzięczność; albowiem szampan jest  
sprawcą tego wszystkiego... Przypominasz so-  
bie tego sir Ludwortha, tego baroneta...  
młody człowiek, nieśmiały, lękliwy, którego  
wam dziś rano przedstawiałem... siedział obok  
mnie, nic nie mówił, nieco posepny.. ale to  
nic nie dowodzi, jest bardzo przyjemny... kie-  
dy jest sam... Ale musiał się zdradzić... Z po-  
czątku przy pierwszym daniu był milczący,  
przy drugim więcej otwarty, a kiedy weso-  
łość już nas ujęła pod swoją władzę, gdy

dawano desser, jego głowa rozgrzała się, a jak szampan wystrzałem korków dał znać o swoim przybyciu, już wylał się zupełnie przed nami, wino dało przystęp wymowie, uprzejmości, wesołości, dowcipowi, i wstając od stołu, rzucił się w moje objęcia, mówiąc: że cię uwielbia, i że prosi o twoją rękę!

K O N S T A N C J A.

O Nieba!

L J O N E L.

Najbogatsza partja z całego hrabstwa, nic więcej!... A potem stary zamek... ale dosyć przyjemny, będziesz damą...

K O N S T A N C J A.

Ale, mój bracie...

L J O N E L.

Będziesz czyniła honory domu, będę ci sprowadzał wszystkich moich przyjaciół na obiad... Powiem im:.. to moja siostra, to Miledy Ludworth...

K O N S T A N C J A.

Pozwól mi...

L J O N E L.

Ja wydałem ją za mąż!.. mnie winna swoje szczęście!..

KONSTANCJA. (*biorąc go za rękę*)

Czy będziesz mię słuchał?..

LJONEL. (*poważnie*)

Cóż to Miledy, czegoś chcesz?..

KONSTANCJA. (*znieczepliwiona*)

Nie ma tu mowy o mnie, o Miledy, ani o tém małżeństwie; Edgar już przyjechał, może wszystko odkryć.. a te 200 gineów, o których już nie myślisz...

L J O N E L.

Na cóż mam myśleć... w takim położeniu rzeczy jak jesteśmy z Ludworthem, nie potrzebuję się wstydzic, a wiesz dobrze że dla niego podobna summa...

K O N S T A N C J A.

Spodziewam się że mu nie powiesz o niej...

L J O N E L.

Już się stało.

K O N S T A N C J A.

Prosiłeś go?..

L J O N E L.

On mi ofiarował... ja przyjąłem... między szwagrami...

K O N S T A N C J A.

Oh Bóże!..

L J O N E L.

Tak moja siostró, ja ci daję 5000 funtów szterlingow dochodu... wszystko już ułożone, umówione... przyjdzie tu nie zadługo... oświadczy się... pozwoliłem mu...

K O N S T A N C J A.

A jakim prawem?

L J O N E L.

Naprzód on chciał tego koniecznie... a potem człowiek uprzejmy, tak wspaniały, szczerzy, który przyrzekł, iż za kilka godzin da mi naprzód sumnę koniecznie potrzebną...

K O N S T A N C J A.

Ale ja... nie przyrzekłam że go przyjmę... ze słuchać będę jego oświadczenia... nie Kocham go...

L J O N E L. (z żywością)

I dla czegoż go nie Kochasz?..

K O N S T A N C J A. (zmieszana, i ze złością)

Ponieważ... ponieważ nikogo nie Kocham....

L J O N E L.

A więc dla ciebie wszystko jedno, czy ten czy inny: nie dla tego żebym chciał przymuszać twoją skłonność; niech mię Niebo zachowa; nie jestem z tych wymagających braci,



którzy chcą uszczęśliwić siostry mimo ich woli... jesteś niezawisłą!.. jesteś panią odrzucenia jego holdów... ale nie dziś... zaczekaj do jutra...

K O N S T A N C J A.

Jutro... kochać go więcej nie będę.

L J O N E L.

Kto wie... to przyjść może!.. już w ten czas będę spokojny... a potem czegoś ja żądam od ciebie?... abys go tylko nie przywodziła do rozpaczy...

K O N S T A N C J A.

Ale to jest bardzo źle... to jest zalotność...

L J O N E L.

Dajże pokój!.. jako, ty dla mojego dobra nie chcesz być cokolwiek zalotną... kiedy ja widzę, że prawie wszystkie panny są zalotne bez żadnej przyczyny... i dla swojej tylko zabawy...

K O N S T A N C J A.

Na próżno... to się nie godzi... to nie jest szczerze postępować... Mam inny sposób, myślałam o nim, ten przenoszę nad chwilowe nawet zmyślenie... i jeżeli się powiedzie...

L J O N E L.

A jeżeli się nie powiedzie?..

KONSTANCJA. (*przestraszona*)

Nieba!.. (*do Ljonela*) Posłuchaj mię tylko...

LJONEL. (*z żywością*)

Oh! nie mam czasu!.. zapomniałem o balu... o kontredansie z moją lubą Pretty.. Moja kochana siostrzyczko... zezwól na twoje szczęście, pozwól mi uczynić cię lady Ludworth!.. albo przynajmniej zastanów się, rozważ... nie dawaj ostatniej odpowiedzi... przecież to nie tak trudno... Do widzenia, zegniam cię... ja spieszę na bal. (*wychodzi głębia, śpiewając*)

K O N S T A N C J A.

Ale Ljonelu... odszedł... nie słucha mię... bracie... Boże!.. Sir Ludworth!..

## SCENA XI.

KONSTANCJA, LUDWORTH. (*wchodząc z prawej*)

LUDWORTH. (*n. s.*)

To ona! sama!..

K O N S T A N C J A.

To on!..

L U D W O R T H.

Gdyby mogła pierwsza do mnie przemówić...

K O N S T A N C J A.

Milczy, tém lepiej, jak długo tylko będzie chciał, ja nie powiem i słowa.

LUDWORTH. (*po chwili milczenia nieśmiało*)

Pani... pan Ljonel widział się z panią przed chwilą?..

K O N S T A N C J A.

Tak jest.

LUDWORTH. (*w kłopotcie*)

Ja go także widziałem dziś rano...

K O N S T A N C J A.

Wiem o tém!.

LUDWORTH. (*nieśmiało*)

Miałem szczęście, że mi pozwolił ofiarować sobie moje usługi, i wszystko czego tylko może żądać odemnie.. na honor... niech tylko powie...

K O N S T A N C J A.

Pan jesteś zbyt dobrym.. mój brat dziękuje panu...

LUDWORTH. (*z ogniem*)

Ah pani!.. (*zatrzymując się*)! A czy mogę mieć nadzieję... że i pani będzie to przyjemnem...

KONSTANCJA. (*w kłopotcie*)

Bezwątpienia, i proszę być pewnym, że wszystko co się czyni dla mojego brata...

LUDWORTH. (*żywo*)

Rozumiem...

KONSTANCJA.

Nie.. Pan mógłbyś być w błędzie.. chcę powiedzieć, że szczerść pana.. bezinteresso-wność...

LUDWORTH. (*żywo*)

Rozumiem dobrze...

KONSTANCJA. (*znieczierpliwością*)

Ale nie, pan nie rozumiesz...

L U D W O R T H.

To wszystko jedno.. niech pani mówi, ja nie wymagam frazesów, wysłowień.. ja na ma-łym przestaję...

K O N S T A N C J A.

Tem' lepiej, dowiedz się pan, że tylko mo-ją wdzięczność i szacunek mogę...

L U D W O R T H,

Ah, ja właśnie tego tylko pragnę.. i za to u nóg twoich pani składam ei podziękii.. (*pada na kolana*)

K O N S T A N C J A.

Ale, panie...

L U D W O R T H,

To wszystko czego żadam, dosyć mi na  
tém.. jestem najszczęśliwszym z ludzi!..

KONSTANCJA. (*chcąc go podnieść*)

Ale proszę.. (*spozstrzega Edgara który uka-  
zuje się we drzwiach w głębi ona wydaje  
krzyk*) Ah!..

(*Edgar gniewnie na nią spogląda i oddala  
się*)

LUDWORTH. (*klęcząc*)

Cóż ci to pani?..

K O N S T A N C J A.

Widział pana klęczącego przy mnie.

L U D W O R T H.

Kto? ten jegomość który się oddala..

K O N S T A N C J A.

Cóż teraz pomyśli o mnie?..

L U D W O R T H.

Mała rzecz, ja mu to pójde wyjaśnię...  
(*wstaje i idzie w głąb*)

KONSTANCJA. (*zatrzymując go*)

Oh nie, nie, zostaw mię pan.. oddal się...  
zaklinam cię...

L U D W O R T H.

Ale zkądże to pomieszanie? ten przestrah? i cóż mogą powiedzieć.. kiedy kocham cię?.

KONSTANCJA. (*przestraszona chcąc go zmusić do milczenia*)

Ah! na miłość Boga!...

LUDWORTH. (*głośno*)

Ale tak jest. powiem to wszystkim:.. kocham cię...

KONSTANCJA. (*j. w.*)

A więc dobrze jeżeli mię.. pan kochasz, żądam jednego dowodu, oddał się natychmiast.

L U D W O R T H.

Z największą chęcią, myślałem, że to coś trudniejszego będzie.. (*odchodzi, i w chwili wyjścia zatrzymując się wraca do Konstancji*)  
Ale teraz, to com przyrzekł, twojemu bratu pani...

KONSTANCJA. (*z niecierpliwością*)

Pan jeszcze tu?..

L U D W O R T H.

Idę, już idę.. (*oddala się i zatrzymuje jeszcze moment*) Do pani adressować będę... i przyszlę... (*Konstancja przynagla go do wyjścia, wychodzi*)

## SCENA XII.

KONSTANCJA. (*sama*)

Oh, Boże!.. jakież będzie miał o mnie wyobrażenie?... będzie mię obwinał, jak usprawiedliwić się.. Nie myślmy o tém.. spieszmy.

## SCENA XIII.

KONSTANCJA, WILLJAM. (*wchodząc drzwiami z lewój*)

WILLJAM. (*tajemniczo*)

Pani!...

KONSTANCJA.

Ah! to ty Willjam.. mój list?..

WILLJAM.

Oddałem go tej osobie do rąk własnych... i zdaje się musiał być bardzo nagłący, gdyż ten pan poszedł natychmiast ze mną, i już tu jest...

KONSTANCJA.

Czy podobna!..

WILLJAM.

Jest w salonie, i kazał mi powiedzieć, że przyniósł to o co go pani prosiłaś...

KONSTANCJA.

Ah, co za szczęście!.. oddycham.. będę więc

mogła nie szkodząc mojemu biednemu bratu,  
odrzuć ofjary sir Ludwortha... powiedzieć mu  
że go nie kocham.. oddać... Prowadź mię do  
niego!...

[WILLIAM.

Dobrze pani.. mówił bowiem: że ma wiele  
interesów i nie ma czasu czekać...

KONSTANCJA.

Idźmy!.. Nieba!.. Edgar!..

## SCENA XIV.

CIŻ I EDGAR. (*wchodząc z głębi*)

EDGAR.

Widzę, że moja obecność miesza panią...

KONSTANCJA.

Nie bynajmniej, miałam wyjść...

EDGAR.

Nieprzeszkadzam pani.. (*Konstancja czyni  
jeden krok do wyjścia*) Prosiłbym jednak  
o chwilę rozmowy!..

KONSTANCJA. (*wracając szybko do niego*)

Jestem Edgarze, słucham!..

WILLIAM. (*do Konstancji*)

A ten pan z którym pani widzieć się miałaś?

EDGAR.

Co?.. jak pan?..



KONSTANCJA. (*do Willjama*)

Proś go, niech zaczeka, chwilę!.. tylko chwilę.  
(*Willjam wychodzi*)

## SCENA XV.

KONSTANCJA, EDGAR.

EDGAR. (*obojętnie, z ironją*)

Przykro, że twoje interesa, czyli też odwiedziny, są tak częste, iż dawny przyjaciel musi prosić o posłuchanie, i tę łaskę jeszcze z trudnością mu udzielają..

KONSTANCJA.

Ah! nigdy tak nie mówiłeś do mnie!..

EDGAR. (*z zapalem*)

Czyliż cię to powinno zadziwiać.. czyliż nie mam prawa być obrażonym, ja, którego ufność, może powinna była zasłużyć na wzajemną nagrodę; ale ty za szczerość moją odpowiedziałś zmyśleniem...

KONSTANCJA.

Panie!..

EDGAR.

Nie obwiniam bez dowodu.. same czyny przemawiają.. czemuż nie wyznałaś mi iż dla tego nie idziesz na bal, aby przyjąć pana Ludworth?.. Byłbym ci mógł powiedzieć com my-

ślał o podobnym postępku, ale nie byłby on zranił mojego serca.. Będąc panią twojej ręki i twoich uczuć, nie pytam kogo przenosisz, twój wybór jest dla mnie obojętnym.. ale twoja reputacja, twój honor są mi zbyt drogie, one należą także do twoich przyjaciół, zapomniałaś o tem na chwilę, i na to się właśnie uzalam.

K O N S T A N C J A.

Ah, Edgarze!.. tyle łagodności, tyle dobroci, kiedy ci się zdaje żem zastrzyła na naganę!

E D G A R.

Gdy zdaje mi się!.. czyliż nie widziałem pana Ludworth, tu, u nóg twoich?..

K O N S T A N C J A.

A jeżeli to było mimo mojej woli; bez mego zezwolenia?.. Jeżeli nie mogłam wzbrownić mu...

E D G A R.

Co mówisz?..

K O N S T A N C J A.

Żem nie czekała na niego.. że nie wiedziałam czy przyjdzie, przysięgam ci..

E D G A R.

I jakże się to stało?

K O N S T A N C J A.

Słuchaj Edgarze! jestem bardzo nieszczęśli-

wą!.. bo chciałam a nie mogę wyznać ci moich cierpień... mogę stać się winną przez lekkomyślność, nierozsądek.. ale nigdy przez fałsz i obłudę... gdyby tak było, ukarż mię najszerszą z męczarni... utratą twojej przyjaźni... zezwalam na to.. ale nie okłwiaj mię... raczej lituj się nademną, że muszę mieć tajemnicę dla ciebie... (*s tkliwością*) dla ciebie, któremu chciałam powierzyć wszystkie moje skrytości...

E D G A R.

Nie mogę cię zrozumieć...

K O N S T A N C J A.

Wiem o tém... i to właśnie mię udręcza...

E D G A R.

Czynię więc zadosyć twoim życzeniom... czekać jeszcze będę, nim cię osądzę... Ale jedno tylko pytanie...

K O N S T A N C J A.

Jakie?..

E D G A R.

Czy kochasz kogo?..

K O N S T A N C J A. (*zmieszana*)

Dla czegoż mię pytasz o to?..

EDGAR.

Przyrzekłaś mi być szczerą...

KONSTANCJA. (*patrzac na niego tkliwie*)  
Edgarze!.. przysięgam ci, że nie kocham pana Ludworth, że mu nic nie przyrzekłam.. i że teraz... (*z radością*) Oh tak, teraz już żadnych z nim stosunków... Czy wierzysz mi?..

EDGAR. (*z żywością*)

Tak, wierzę ci... więcej jeszcze jak mojemu rozsądkowi... wierzę ci.. ponieważ ty mię o tem zapewniasz, i nie chcę innego świadectwa... Nie ufać tej, którą się kocha, jest największym nieszczęściem... Dla tego nie pytam się już o nic... Czy cieszy cię to Konstancjo?...

KONSTANCJA.

Oh! nad wszystkie wyrazy.. i gdybys wiedział co się dzieje.. tu.. w mojem sercu...

EDGAR. (*biorąc jej rękę*)

Moja siostro... przyjaciółko!.. ale odtąd, i wyjąwszy ten interes, który ma styczność z panem Ludworth... żadnej tajemnicy... ufać zupełna...

KONSTANCJA. (*uroczyście*)

Przysięgam ci!.. (*wstrzymując się*) Ale nie.. z tobą nie potrzebuję przysięgi... Ty mi wierzysz... wszakże prawda?..

## SCENA XVI.

CIŻ, MISTRISS CARINGTON.

M. CARINGTON.

No proszę!.. to śmiałość!.. u mnie!.. w moim domu!..

EDGAR.

Cóż to moja ciotko?..

M. CARINGTON.

Jakiś obcy... jakiś nieznajomy.. z powierzchownością dosyć nie korzystną.. siedzi rozparty w salonie... i za ledwie się ukłonił, użala się bardzo niegrzecznie, że mu każą czekać...

KONSTANCJA.

O Nieba!.. w zbytku szczęścia... zapomniałam!..

EDGAR.

Czegóż chce?..

M. CARINGTON.

Widzieć się z Konstancją...

EDGAR.

Z jakiegoż powodu?..

M. CARINGTON.

Z jakiego powodu... zapewne od niej dowiemy się o tem... albowiem ten jegomość jest pan Durster... lichwiarz...

E D G A R.

Lichwiarz...

M. C A R I N G T O N.

Który jest zapewne z nią w interesach...

E D G A R.

To być nie może...

M. C A R I N G T O N.

I ja tak powiedziałam... gdy tym czasem idzie tu o znaczną summę.. o pōdpisanie aktu... bo cały jej majątek jest zastawiony...

E D G A R.

Zastawiony!..

M. C A R I N G T O N.

Nie uprzedziwszy nawet swojej familji.. bez czyjejkolwiek porady.. panna nie mająca jeszcze lat... dla tego domyślisz się, że postąpiłam sobie z tym oszustem, tak jak na to zasługiwał...

K O N S T A N C J A.

Co mówisz pani?..

M. C A R I N G T O N.

Żem go kazała wypędzić moim ludzjom...

K O N S T A N C J A.

Poszedł!.. już poszedł... Ah cóżem uczyniła?..

E D G A R.

A więc go znasz?..

K O N S T A N C J A. (n. s.)

Boże!..

EDGAR.

Więc to wszystko jest prawdą?.. przyznajesz?..

KONSTANCJA.

Tak panie.

EDGAR.

Nie mogę jeszcze temu dać wiary!.. jakież mogą zachodzić styczności między tobą a podobnym człowiekiem?.. dla czegoż go sprowadziłaś?.. dla czego udałaś się do niego?.. Ah! powiedz... powiedz przez litość!..

KONSTANCJA. (*n. s.*)

Jakie męczarnie!.. (*głośno*) Edgarze!.. Edgarze!.. nie gniewaj się na mnie... ale ja nie mogę powiedzieć...

EDGAR.

Jeszcze!.. to już za wiele!..

## SCENA XVII.

KONSTANCJA, EDGAR, PRETTY, M. CARINGTON.

PRETTY. (*wbiega drzwiami z lewej*)

Konstancjo!.. Konstancjo!.. dobra nowina, nie wiesz... list od sir Ludwortha...

EDGAR.

Sir Ludwortha!?

P R E T T Y.

Tak jest.. John, jego służący, przyniósł.. i pytając się o Miss Konstancję, miał postać tak uprzejmą i tak tajemniczą, że założyliśmy się, iż to jest oświadczenie..

M. C A R I N G T O N.

Co?..

P R E T T Y.

Zobaczemy czy wygrałam... idzie bowiem o... chcesz abym przeczytała?..

KONSTANCJA. (*przestraszona*)

Pretty!..

EDGAR. (*zatrzymując ją*)

Jakto chciałabyś?..

P R E T T Y.

Dla czego nie.. to nas zabawi.

EDGAR. (*biorąc list*)

Ten list należy do Konstancji... (*z znaczeniem*) I lubo ona już nie ma żadnych stosunków z Panem Ludworth... do niej jednakże jest adressowany... (*czytając*) »Do rąk Konstancji.« (*oddaje go*) Proszę.

KONSTANCJA. (*strwożona*)

Dziękuję.. panu.. nie wiem.. co zawiera w sobie... ten list..



P R E T T Y.

Jest jeden sposób dowiedzieć się... przeczytać go... *(przechodzi na prawo Konstancji)*

E D G A R.

Proszę, nie zważaj na nas... jeżeli nie... oddalę się...

M. C A R I N G T O N.

W istocie moje dziecię... zobacz.. przeczytaj... prócz tego, może trzeba posłać odpowiedź!..

KONSTANCJA. *(występując naprzód sceny)*

»Kazałaś mi oddalić się... dopełniłem two-  
»jej woli, i przesyłam to co pani wiesz... we-  
»xel na 300 funtów szterlingów do mojego  
»bankiera... nazbyt szczęśliwy, jeżeli wtenczas  
»kiedy dotrzymuję moich przyrzeczeń, pani  
»przypomnisz sobie te, które mi uczyniono  
»w twojem imieniu... i któreś pani raczyła po-  
»twierdzić...» O Nieba!.. *(przypadkiem upu-  
szcza wexel będący w liście)*

P R E T T Y.

I cóż ten list!.. *(podejmując papier)* Ah!  
aż dwa listy...

KONSTANCJA. *(biorąc go)*

Zawiera w sobie rzeczy zupełnie obojętne...

P R E T T Y.

Czy tak!.. najmniejszego oświadczenia?.. pozwól, zobaczę.,.

K O N S T A N C J A.

Na cóż?..

P R E T T Y.

Aby się przekonać czy przegrałam... nie jestem przymuszona odnosić się do ciebie... i do twojej skromności... nie prawdaż mój bracie?..

E D G A R.

I owszem... byłoby bardzo źle z twojej strony nie ufać jej szczeroci... co do mnie, ja bynajmniej o tém nie wątpię, i wystrzegać się będę starannie najmniejszego zapytania w tym względzie... (*siada przy stoliku, Pretty wychodzi drzwiami w głębi*)

K O N S T A N C J A.

Oh Boże!.. Boże!.. Ljonel... i Pretty!.. i ich szczęście!.. (*patrzac na Edgara*) Ale on ma mnie w podejrzeniu... pogardza mną... Ah! raczej śmierć nad tę myśl!... niech się dowie o wszystkiém... (*zblizajac się do Edgara, półgłosem*) Edgarze!.. weź!..

E D G A R. (*biorac list*)

Czy podobna!.. ten list...

KONSTANCJA. (*spostrzegając Ljonela*)

Boże!.. méj brat!.. (*biorąc list na powrót*)  
Nie.. nie.. nie mogę się do tego nakłonić... i  
nie zdradzę go, choćby nawet okupem szczę-  
ścia mojego...

EDGAR. (*z cicha*)

Co czynisz?.. i cóż mam myśleć?.. (*do Kon-  
stancji, która ściska list w ręku*) Konstancjo!  
Konstancjo.. ten list... albo wszystko skończo-  
ne pomiędzy nami.

K O N S T A N C J A.

Jak zechcesz panie... Ah wyjdźmy! to nad  
siły moje. (*wychodzi na prawo*)

## SCENA XVIII.

EDGAR. (*po prawej stronie sceny*) MI<sup>S</sup>TRISS  
CARINGTON. (*po lewej*) PRETTY, LJONEL.  
(*wchodzą z głębi*) PRETTY. (*stała przed Ljo-  
nelem i mówiła z nim po cichu, przy końcu  
sceny poprzedzającą*)

P R E T T Y.

Mówiłam ci, abys się porozumiał z moim  
bratem... a zaledwie z nim mówiłeś...

L J O N E L.

Przez cały bal prawie...

P R E T T Y.

Tak, same niedorzeczności. (*pokazując mu Edgara*) Widzisz.. oto jest!..

L J O N E L.

Mój kochany Edgarze!..

EDGAR. (*wychodząc z zamyślenia*)

Ah to ty Ljonelu!..

L J O N E L.

Tak jest.. ja... twoja siostra i ja... mówiliśmy właśnie... że bardzo długo podróżowałeś...

E D G A R.

Tak, dla waszego szczęścia, obecność moja była upragnioną... (*zawsze zajęty*) Są ofiary nakazywane poradą rozumu, pójdę za nimi... Ljonelu, siostra moja jest twoją... oddaję ci ją.

LJONEL i PRETTY.

Co słyszę?..

EDGAR. (*idąc ku M. Carington*)

Co do nas moja ciotko, wiesz jakie są nasze zamiary...

LJONEL. (*cicho do Pretty*)  
Rozumiem... zeni się z Indjaną.

P R E T T Y.

Czy tak... a więc razem za mąż pójdziemy.

M. CARINGTON. (*z radością*)  
Kochany Edgarze...

EDGAR. (*do M. Carington*)

Przyjdę za chwilę do siebie moja ciotko, porozumiemy się ze sobą w tym względzie... ale zostaw mię... ty także moja siostró... mam z Ljonelem pomówić o rzeczach bardzo ważnych.

LJONEL. (*do Pretty*)

Pewnie o podrózach będzie rozprawił...

PRETTY. (*z cicha*)

Jeżeli cię to nauczyć może... nie byłoby źle...

LJONEL. (*biorąc jej rękę familjarnie*)

Ah Pretty!..

P R E T T Y.

No mości panie, cóż znaczy ta poufalość!.. (*Lyonel chce ją uściskać*) Mój bracie... on mię chce uściskać.

EDGAR. (*z niecierpliwością*)

Eh daj mi pokój.. i odejdz...

PRETTY. (*odchodząc, do Lionela*)

No spiesz się moją panie... brat czeka na ciebie... (*Lyonel ją uściskał, wybiega naprawo*)

## SCENA XIX.

LJONEL, EDGAR.

LJONEL. (*n. s.*)

Nakoniec mam żonę... ale nie bez trudów...

(zblizając się do Edgara) No, mój przyjacielu, mówileś?..

E D G A R.

Jesteśmy sami... chcę pomówić o twojej siostrze.

L J O N E L.

O Konstancji?..

E D G A R.

Tak jest... Dzięki przyjaźni łączącej nas z lat dzieciennych, należę prawie do familji, i mój postępek nie powinien cię zadziwiać... Gdybyś tego jeszcze poranku dowiedział się czegoś o mojej siostrze... co by ci się nie podobało... co by ci przykrém było.. bez wahania uwiadomiłbyś mię o tém...

L J O N E L.

To prawda...

E D G A R.

A więc i ja równie szczerym będę... i oświadczam ci, że w tej chwili... postępowanie Konstancji, nie jest takim jakim być powinno...

L J O N E L.

Co mówisz?..

E D G A R.

Niech to zostanie między nami!.. Niedawno znalazłem ją tu sam na sam z panem Ludworth...

LJONEL. (*żywo*)

Wiem o tem.. Ludworth ją uwielbia... ale  
Konstancja mi powiedziała że go nie kocha...

EDGAR. (*z ironją*)

I ja to samo z jej ust słyszałem... a jednakże  
widziałem go tu u jej nóg klęczącego... codzien-  
nie pisują do siebie.. a co się tycze listów.. wi-  
działem od niego przysłane... i przyjęte...

L J O N E L.

Czy podobna!.. dla czegoż zataiła przedemną?

E D G A R.

Dowiedz się.. co przypadek dał mi poznać..  
Konstancja straciła cały majątek...

L J O N E L.

Moja siostra!..

E D G A R.

Tak, ten szczupły majątek.. to małe dzie-  
dzictwo po swoim ojcu.. wszystko stracone...  
potajemnie zastawiła...

LJONEL. (*głośno*)

Nie, być nie może.

E D G A R.

Proszę cię, milczenie!..

L J O N E L.

A ona codziennie mi prawila morały nad  
mojemi szaleństwami...

E D G A R.

Co?.. tobie dawała nauki?..

L J O N E L.

Tak... nad moją lekkomyślnością... a tymczasem przekonywamy się... że ona... nie uwiadomiwszy mię... W tem jest całe złe... bo ja byłbym jęj powiedział..

E D G A R.

Cóż takiego?..

LJONEL. (*żywo*)

Nic... zupełnie nic... ale czy pewnym jesteś tego?.. od kogo się dowiedziałeś?..

E D G A R.

Od niej samój, i od osób... od lichwiarza do którego się udała... od pewnego pana Durster...

LJONEL. (*z krzykiem*)

Durster!.. już zgubiona!.. to jest najchciwszy z lichwiarzy... pożyczą tylko na 200 od sta... on nie zna ani litości, ani zwłoki... ja sam nawet miałem wexel-..

E D G A R.

Ty?!.

L J O N E L.

Jednego z moich przyjaciół... przyjaciela od serca... którego dług musiałem zaspokoić...



Wiem co mię kosztowało... Teraz już się nie dziwię, że w tak krótkim czasie moja siostra roztrwonila cały spadek po ojcu... (n. s.) I ona także!..

EDGAR. (z żywością i patrząc wkoło, siebie)

Domyslasz się, że nikt tajemnicy tej znać nie powinien... i że trzeba tak ułatwić tę rzecz, aby najmniejszy ślad nie został, i... to do nas należy...

L J O N E L.

Tak prawda.. to do nas należy.

E D G A R.

Nie do ciebie, którego szczupły majątek nie powinien doznawać uszczerbku za błąd cudzy, ale do mnie, wychowanego z Koustancją, do mnie jej dawnego przyjaciela...

L J O N E L.

Co mówisz?..

E D G A R.

Nie śmiał bym jej nigdy ofiarować podobnych usług, odrzuciła by je, powinna odrzucić, ale ty, jej brat.. to przyzwoicie. (dając mu pugilares) Weź, tobie polecam załatwienie wszystkiego, lecz [proszę cię, niech ona nigdy nie wie, że ja najmniejszy miałem w tym udział.. pamiętaj i to, że odrzuciwszy na

chwilę pobłażanie brata, należałoby pomówić z nią nieco surowiej o przeszłości!..

L J O N E L.

Czekam na nią, nagadam jej moralów. (*n. s.*) z procentem oddam jej te które od niej sły-  
szałem.

E D G A R.

To ona, zostawiam cię, ale nie zapomina-  
j o względach..

L J O N E L.

Nie nie przyrzekam, zobaczymy.. do widze-  
nia Edgarze, bracie mój, wistocie tacy ludzie  
jak my potrafią się ocenić i porozumieć.. (*wy-  
chodzi głębia*)

## SCENA XX.

KONSTANCJA LJONEL.

L J O N E L.

Otóż i ona!

KONSTANCJA. (*wchodząc z prawej*)

Ah! to ty bracie!. szukałam cię, pragnę po-  
mówić z tobą.

L J O N E L.

I ja także, nie jestem kontent z ciebie, gniewam się na ciebie.

KONSTANCJA. (*z żywością*)

Za co?

L J O N E L.

Cóżeś to uczyniła siostrze?.

K O N S T A N C J A.

Jako; miałżebyś wiedzieć?..

L J O N E L.

Wiem wszystko, a to nie dobrze moja siostrze; bo nakoniec nie mi nie mówiąc, nie uprzedziwszy mię o tём.. to mogło mię skompromitować, zaszkodzić mojemu małżeństwu.

K O N S T A N C J A.

Jakto?..

L J O N E L.

A lubom przyrzekł wytąjać cię.. niemam mocy, i natychmiast przystępuję do rzeczy.. nie obawiaj się, kocham cię; siostrzyczko.. nie gniewam się na ciebie.. przebaczam ci., więcej nawet uczynię.. (*oddając jej pugilares*)

K O N S T A N C J A.

Cóż to jest?..

L J O N E L.

Będiesz miała na zapłacenie twoich długów!

K O N S T A N C J A. (*daje mu inny pugilares*)

A ja ci przyniosłam na zaspokojenie twoich!

L J O N E L.

Zkądżeś dostała?.

K O N S T A N C J A.

Minejsza oto, dosyć ze nie od barona Ludworth, zem mu nie nie winna, ze go nie chcę

widzieć więcej, że teraz już nie obojętnym jest dla mnie, ale obmierzłym, nienawistnym...

L J O N E L.

Eh, dajżeż pokój, już ja ci nie wierzę!. Edgar ma tego dowody, upewnił mię, że go kochasz!...

K O N S T A N C J A.

Co? Edgar! on to powiedział, Edgar jest niewdzięcznym, najniesprawiedliwszym z ludzi, nienawidzę go, równie jak barona, i teraz tyle nim się brzydzę, ile go dawniej kochałam.

L J O N E L (*żywo*)

Jako! ty go kochałaś?..

K O N S T A N C J A (*placząc*)

Oh, Boże! czyliż nie miłość zawsze była w mojem sercu dla niego?. (*namiętnie*) Od lat dziecinnych, od chwili kiedym poznała siebie, on był moją myślą, przyszłością, nadzieją całą.. wszystkie marzenia w nim się jednoczyły, przeniosłabym z nim nędzę nad szczęście zinnym!. (*wstrzymując się*) Nie wiem co mówię zapominam o wszystkiém, i ty mię pytasz jeszcze czy ja go kocham!

L J O N E L,

Kochasz go!.. biedna siostrzo.. a on kocha inną!

K O N S T A N C J A.

Co mówisz!..

L J O N E L.

Zaślubia Indjanę... oświadczył to ciotce, mnie... całej rodzinie.

KONSTANCJA.

Stało się!.. umrę z bóleści!.. (*z żywością*)  
Bracie mój, błagam cię!.. zaponnij o tem co słyszałeś odemnie... to nie prawda... to zmyślenie!.. ja go nie kocham... Ah wiecznie!.. wiecznie!.. to nad siły moje... dla czegoż jeszcze tego poranku zaniecił w mojej duszy uczucia obce dla niego zupełnie... dla czegoż przed chwilą, tu nawet... mówił do mnie jak do swojej przyjaciółki... do swojej towarzyszki?!

L J O N E L.

Ah tak!.. Edgar, kocha cię.. albo przynajmniej kochał.. Ale przyznasz także, że w tym i twoja jest wina.. Naprzód, nic mi o tem nie powiedziałaś.. mnie który mam nad nim władzę, byłbym wszystko ułożył, zamiast tego, skompromitowałaś się w jego oczach.. bez mojej wiedzy prowadzisz ciągłą korespondencję z baronem!...

KONSTANCJA. (*zadziwiona*)

Ja!.. w życiu mojem jeden tylko list odebrałam od niego i to dla ciebie..

L J O N E L.

Dla mnie?...

K O N S T A N C J A.

Oto jest.. wexel do jego bankiera... na tę summę..

LJONEL. (*z żywością i biorąc papier*)

Ah, to co innego, to ci przebaczam; ale twoja rozrzutność.. jest nie do darowania.. sądziłem zawsze, że jesteś oszczędną. porządną..

KONSTANCJA. (*zdziwiona*)

Jakto?..

L J O N E L.

Ja cię bynajmniej nie łaję... ale przyznasz sama, że twoje stosunki z Dursterem... te pożyczone pieniądze!..

K O N S T A N C J A.

Któż ci o tem powiedział?.. Tak wypędzono go z tego domu.. pobieglam do niego, i tyle dokazałam prośbą i łzami, że podpisałwszy wexel na czterysta gineów, pożyczył mi dwustu.

L J O N E L.

Co mówisz?..

K O N S T A N C J A.

Dla ciebie... oto są.. przyniosłam...

LJONEL. (*z krzykiem*)

Ah siostró... jestem nieszczęśliwy... nieszczęśliwy!.. Ja ciebie obwinałem o moje błędy,

o moje występki.. Powinnaś mię nienawidzić?  
Wzorze siostr, siebie gubilaś ażeby mnie nie  
zdradzić... Nie broniąc się, bez żalu poddawa-  
łaś się twojemu nieszczęściu i dla mnie...

K O N S T A N C J A.

Mogłażem ci o tem powiedzieć..

L J O N E L,

Ja powinienem był zrozumieć tę tajemnicę  
i dla tego..

K O N S T A N C J A.

Cóż chcesz czynić?..

LJONEL. (*biorąc list Konstancji*)

Daj.. daj.. wiem co mi powinność nakazuje..

K O N S T A N C J A.

Ale Ljonelu..

L J O N E L.

Nie powiedzą żeś ty sama tylko zawsze po-  
święcała się dla mnie.. i chcę.. Żegnam cię...  
żegnam cię sostro.. (*wybiega na prawo*)

## SCENA XXI.

KONSTANCJA. (*sama*)

Jakiż jest jego zamiśl?.. i na cóż się teraz  
przyda!.. on mię już nie kocha!.. zaślubia inną,  
wszystko się dla mnie skończyło.. To on..

## SCENA XXII.

KONSTANCJA, EDGAR, M. CARINGTON.

M. CARINGTON. (*rozmawiając z Edgarem, wchodzi głębią*)

Za chwilę notarjusz przyjdzie do salonu, doniosą nam o jego przybyciu..!

KONSTANCJA. (*n. s.*)

Boże!..

M. CARINGTON.

Tak moje dziecię, Edgar zaślubia swoją kuzynkę Indjanę, możesz jej powinszować...

EDGAR.

Nie jej samej tylko służyć będzie powinszowanie, chciałem, ażeby ten dzień tak szczęśliwy dla nas, był i dla ciebie Konstancjo szczęśliwym.. Widziałem właśnie barona Ludworth.. i bez trudności zezwolił na związek którego z upragnieniem oczekuje...

KONSTANCJA.

Nie wiem panie, kto cię prosił o dopełnienie podobnego kroku...

EDGAR.

Twój brat upoważnił mię...

KONSTANCJA. (*n. s.*)

Jeszcze on!..

EDGAR.

I nasza dawna przjaźń może nadawała mi prawo...



PRETTY. (*wchodząc z baronem*)  
Tu, tu, panie Baronie...

### SCENA XXIII.

PRETTY, KONSTANCJA, EDGAR, LUDWORTH,  
MISTRISS CARINGTON.

PRETTY. (*do Ludwortha*)  
Oto moja ciotka... a ponieważ chcesz z nią  
mówić...

LUDWORTH. (*w kłopotcie*)  
Tak w istocie.. pani.. nigdybym się nie ośmie-  
lił prosić pani, i jeżeli się na to odważam...  
to zachęcony.. przez mojego przyjaciela Ljo-  
nela.. i przez pana Edgara..

KONSTANCJA. (*n. s.*)

Edgara!.. Ah teraz sądzę, że go zupełnie nie-  
nawidzę!..

LUDWORTH.

Wiadomo pani., że muszę się ożenić w tym  
roku... i jeżeli się odważam ubiegać o rękę  
innej nie córki pani...

PRETTY. (*n. s.*)

Przykro mu wywikłać się!..

LUDWORTH.

Mam nadzieję, że pani nie raczysz się na  
mnie gniewać, i nie odmówisz mi swojej przy-  
chyłności.. względem Konstancji.. twojej wy-  
chowaniicy...

M. C A R I N G T O N .

Prawdziwie, to oświadczenie powinna uważać za zaszczyt!.

K O N S T A N C J A .

Za zaszczyt.. bez wątpienia... ale ponieważ nie mogę godnie mu odpowiedzieć.. odmawiam..

W S Z Y S C Y .

Nieba!...

L U D W O R T H .

Jakto pani!.. jednakże powiedziano mi., i cóż to ma znaczyć?..

K O N S T A N C J A .

Ze byłoby to źle zawdzięczać i przyjaźń Pana dla moiego brata, i twoje uczucia dla mnie, łącząc twój los z losem kobiety która by cię nie mogła uszczęśliwić... i która cię nie kocha...

EDGAR. *(z radością)*

Byłoby to prawdą? ...

## SCENA XXIV.

PRETTY, KONSTANCJA, EDGAR, INDJANA, MI-  
STRISS CARINGTON, LUDWORTH.

I N D J A N A .

Oto pięknie... notarjusz jest w salonie .., czeka na was... a wy tu bawicie ...

M. C A R I N G T O N .

Idźmy mój siostrzeńcze...

EDGAR.

Idę moja ciotko...

P R E T T Y.

A gdzież jest Ljonel?..

EDGAR. (*zbliżył się do Konstancji, z cicha*)

Konstancjo... przez litość... racz mi wyjaśnić... słowo... jedno słowo!.. mogę jeszcze...

KONSTANCJA. (*wzruszona*)

Nie mam ci nic powiedzieć. Panie, twoja uaręczona czeka cię... bądź szczęśliwym... zapomnij o mnie... tak jak ja ciebie zapominam... (*n. s.*) Ah, umrę... ale milczeć będę...

EDGAR.

A więc... chcesz tego?..

KONSTANCJA. (*z przerażeniem*)

Tak jest... chcę tego!... (*n. s.*) ukryjmy boleść, idźmy tylko za głosem honoru...

EDGAR.

Stało się!.. (*bierze rękę Indjany; Mistriss Carrington i Pretty idą za nimi, Konstancja jest na przodzie sceny, Ludworth po lewej. Już mają wychodzić, kiedy Ljonel ukazuje się we drzwiach*)

## SCENA XXV.

CIŻ i LJONEL.

LJONEL. (z zapalem)

Wstrzymajcie się!.. gdzież idziecie?..

P R E T T Y.

Notarjusz nas czeka... ciebie tylko brakowało...

L J O N E L.

To być nie może... te związki nie mogą się zawrzeć...

W S Z Y S C Y.

Dla czego?..

L J O N E L.

Ponieważ Edgar nie kocha Indjany...

M. C A R I N G T O N.

Co śmiesz mówić?..

L J O N E L.

On kocha moją siostrę i ona go wzajemnie..

EDGAR. (z radością biegnąc do niego)

Czy podobna!..

KONSTANCJA. (chcąc żeby milczał)

Bracie!..

L J O N E L.

Ah już nie potrzebuję oszczędzać nikogo... niech wiedzą wszystko!.. przecież w ostatniej godzinie trzeba prawdę mówić, a ja jestem już jej blisko... czyli tak jakbym już był...

E D G A R.

Co mówisz?..

L J O N E L.

Ze moja siostra odebrała od barona nie list miłosny, ale wexel przeznaczony na zapłacenie długów... ten wexel był dla mnie... a długi były moje.. Konstancja złożyła swój majątek w ręce Durstera, lichwiarza, zastawiła go... dla kogo? dla Ljonela.. zadłużyła spadek ojczysty.. dla kogo?.. dla Ljenela... który swój własny roztrwonił... I nie dosyć jeszcze... *(do Konstancji, która mu chce przerwać)* Daj mi pokój... powiem wszystko... ściągnęła na siebie podejrzenie... pozwoliła upokarzać się, obwiniać.. dla kogo?.. zawsze dla Ljonela... nie chciała bowiem zerwać naszego małżeństwa... Ale tak długo pozostać nie mogło... Ljonel jest nie dobrego, prawda... ale nie jest niewdzięcznym.. nie jest fałszywym przyjacielem.. złym bratem... Edgarze... oto twoje pieniądze... Konstancjo... oto twój wexel... zapłacony... podarty... a co się tycze moich długów... wszystkie zaspokojone...

W S Z Y S C Y.

Jakimże sposobem?..

L J O N E L.

Mogłem sobie odebrać życie... był to spo-

sób... miałem z początku tę myśl... ale to nie zapobiegało złemu... długów bym nie popłacił... A ponieważ w każdym razie trzeba się było wyrzec na zawsze ręki Pretty... ogarnął mnie jakiś rodzaj obłąkania, rozpaczy... zmysły mię odstąpiły... z całego spadku po moim ojcu tylko moją osobę jeszcze mogłem dać w zastaw... i dla tego zastawiłem się...

EDGAR.

Jakto?..

LJONEL.

Osobie bogatej, przyjemnej.. wspaniałej.. która na nieszczęście ma tyle lat ile tysięcy funtów szterlingów rocznego dochodu.. i żenię się...

EDGAR.

Z kim?..

LJONEL.

Z księżniczką Margland.

PRETTY, KONSTANCJA.

O Nieba!..

EDGAR.

Księżna na dożywociu...

LJONEL.

Nie wspominaj mi o tém mój przyjacielu... i nie osłabiaj mojej odwagi... rozważyłem całą rozciągłość ofiary!.. Księżna ma lat 60, ja bym chciał żeby 70 miała...

E D G A R.

I zaślubiłbyś ją?..

L J O N E L.

Powiniennem być ukarany... zasłużyłem na to..... Pretty!.. Pretty!.. już nie byłem godny ciebie... ani twojego brata... dla mnie nie ma już radości... nie ma szczęścia na ziemi. (*placząc*) Opuszczę miasto... oddalę się do moich dóbr... przyjdziecie mię odwiedzić... będziemy polować... wyścigi... psy.. konie.. (*do Edgara*) Oh przyjacielu!.. nie mogę ci opisać mojej męczarni!.. (*do Ludwortha*) Ludworth powinieneś gniewać się na mnie... czynilem ci nadzieję że moja siostra... jeżeli chcesz bić się ze mną... jeżeli mi życie odbierzesz... wyświadcysz mi największą przysługę.

L U D W O R T H.

Oh wcale sobie nie życzę... jużem ci dosyć ich wyświadczył..

L J O N E L.

To będzie ostatnia!..

P R E T T Y.

Ah to niegodziwie!.. zdradzić mię... dla wdowy na dożywociu! (*Ljonel przechodzi na lewo Indjany*)

E D G A R.

No, no, uspokójdźcie się... wszyscy potraciliście głowy.. zacząwszy od Ljonela; jego poprawę ja biorę na siebie.

L J O N E L.

A to jakim sposobem, proszę mi powiedzieć.., jakim prawem?..

E D G A R.

Prawem, którego równie nie jestem godzien, o które jednak błagam na nowo... prawem szwagra... (*Lyonel przechodzi do Pretty*)

M. C A R I N G T O N.

Jakto Edgarze?..

E D G A R.

Tak moja ciotko, zbyt ją kocham abym mógł to serce nią całe zajęte, innej poświęcić... Konstancjo... czy odrzucisz ofiarę występnego.. żalującego!.. przebacz mi, nie dla mnie... ale dla twojego brata... ażeby go ocalić... on ci życie oddawał... czyliż mniej dla niego uczynisz?..

KONSTANCJA. (*spuszczając oczy z wolna*)

Ah uczyniłam już tyle dla niego... że ta ostatnia ofiara...

E D G A R.

I cóż?..



KONSTANCJA. (*tkliwie*)

Będzie wiarodą wszystkich... Tak Edgarze...  
kocham cię... ale może być szczęśliwą bez  
mojego brata..

EDGAR.

To zostaw mojemu staraniu... powrócę Księż-  
nie kapitał mu zaliczony... Co się tycze pro-  
centów, postaram się, aby mu nie kazała o-  
płacić je tak drogo... a co do naszych ukła-  
dów małżeństwa... wrócimy do tego, nie te-  
raz... ale później, (*patrzac na Ljonela*) gdy  
się poprawi... kiedy słuchać będzie tylko gło-  
su rozsądku...

PRETTY. (*patrzac na Indjanę*)

A więc ja ostatnia za mąż pójdę.

KONIEC KOMEDJI I TOMU DZIEWIĄTEGO.

---

( 258 )



(Exemplarzy nie opatrzonych moją cyfrą  
prawnie poszukiwać będę.)

INSTITUT  
BADAN LINGWISTYCZNYCH PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-330 Warszawa,  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



<http://rcin.org.pl>









F  
1204  
9.